ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 10 III 1974 Nr 5 (543) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA 3 ZŁ

„ODA DO EWY" na str. 8

W SZKOLE MALOWANI

Ireneusz J. Kamiński

W DAWNYCH czasach akademie sztuki wypełniał świergot młodzieży artystycznej, albowiem studia tego typu podejmowali z reguły ludzie, którzy odczuwali powołanie wyższego rzędu, chcieli rozdzielać światu piękno, wzruszenie, humanistyczną refleksję. Te kardynalne wartości traciły jednak na wdzięku, a praktyka dnia codziennego dowodziła, że być artystą to znaczy klepać biedę, szarpać sobie nerwy i w upokarzający nierzadko sposób czekać na los szczęścia, który wyciągnie jednostkę z anonimowej i coraz liczniejszej zbiorowości artystycznej. Rzeczywistość sprzyjała tym, którzy mieli konkretny fach w ręku i produkowali rzeczy bezpośrednio przydatne oraz ładne. Szkoła życia jest szkołą najlepszą, więc obecnie wyższe studia plastyczne podejmuje się z rozsądku i potrzeby posiadania jakiegoś zawodu, a aktualny program uczelni artystycznych zdaje się zapewniać osiągnięcie tego celu. Co roku idą więc w Polskę dziesiątki, a może setki dyplomowanych architektów wnętrz, ceramików, speców od grafiki użytkowej, wystawiennictwa i wzornictwa przemysłowego, które od niedawna pięknie nam się rozwija, produkując m. in. jeszcze piękniejsze koncepcje teoretyczne, bez których w ogóle trudno.

Tymczasem przedstawiciele „Pracowni Sztuk Plastycznych", jedynego w kraju przedsiębiorstwa państwowego, zajmującego się m. in. upiększaniem naszego otoczenia, abyśmy zdrowi psychicznie i moralnie byli, a więc ci właśnie ludzie twierdzą, że z fachowością młodzieży plastycznej nie jest dobrze.

Poznań wytyka absolwentom wydziału architektury słabe rozpoznanie w technice konstruowania mebli. „Projekty ich nie nadają się przeważnie do realizacji przez zakłady stolarskie. Studenci wyższych uczelni plastycznych nie są dostatecznie zaznajomieni z

Dokończenie na str. 4—5

Otworzyć żelazne drzwi

Jacek Grün

POPRZEDNI felieton, zarysowujący tło do rozważań na temat współczesnej szkoły muzycznej (dowolnego stopnia) i miejsca jazzu w tejże szkole, wywołał wśród zainteresowanych czytelników wiele kontrowersyjnych opinii i sprzecznych sądów. Ale zawsze tak bywa z publikacjami, które zakłócają spokojny sen ludziom tworzącym naszą kulturę i przygotowującym dla tej kultury nowe kadry. Bynajmniej nie zaślepiła mnie muzyka jazzowa, gdyż z równym zapałem hołd oddaję całej światowej twórczości tzw. poważnej. I właśnie to stawianie znaku równości między wielowiekową tradycją a historią najnowszą i tym, co historię tę obecnie tworzy, przyprawa rumieńców zapału twarzom moich adwersarzy. Dyskusja zatem, i to wielokanałowa, bardzo wska-

Dokończenie na str. 9

Michaił Berberow w tłumaczeniu Anny Kamieńskiej

Przedstawiam dziś poezję bułgarską wierszami poety średniego pokolenia, Michaiła Berberowa. Urodził się on w mieście Stara Zagora w r. 1934. Ukończył Uniwersytet w Sofii. Wydał następujące tomy wierszy: „Wnuk dudziarza" — 1958, „I kładli się o wschodzie" — 1964, „Księżyc w jednej kwadrze" — 1968, „Chleb na rozczynie miłości" — 1968, „Z daleka będziesz blisko" — 1972. Wiersze tłumaczone pochodzą z tego ostatniego zbioru. Przed trzema laty w miesięczniku „Poezja" opublikowałam przekład poematu Berberowa „Grobowiec tracki".

Anna Kamieńska

* * *

Oddalisz się, a będziesz blisko.
I jeszcze bliżej. Gdzieś spod nieba,
w które latawiec dziecka wzlata,
przybliżasz się do jego cienia
padającego z góry. Więc zbliżasz się do Ziemi.
Zupełnie niby w baśni – schodzisz
po cienkiej nici – z włosami z obłoku
i z sercem z już wygasłej
błyskawicy. Trudno – już się nie zatrzymasz!
Możliwy jest odwrotny bieg.
Lecz trzeba, byś się sam narodził z cienia.
A to już inną sprawa – jeżeli potrafisz,
spróbuj w swym niebie, tam, głęboko w sobie
stać się na nowo sam latawcem dziecka.

* * *

Nic mi nie pozostało. Wszystkie rzeczy
zabrałaś z sobą. Wymieńmy – słowa,
nazwania i przedmioty z mym imieniem,
uśmiechy płci i pocałunki żądzy.
Tak się rozdałem, że dziś mnie poznajesz
w każdym swym rysie, w każdej formie.
Jedno jest tylko, co mi darowałaś,
to twoja ziemia. I w niej mnie pogrzebią.

* * *

Zostałem sam z mym ciałem.
Sam.
I cień na słońcu.
Trawa przyzywa swą zieloną krew.
Zbłąkane w mroku brzęczą pszczoły
szukają zagubionych uli.
A gwiazdy
świecą we mnie gdzieś głęboko.
Wspomnienie nie ocala mnie.
Krzesiwa,
krzesiwa mi potrzeba. Tyś jest krzemień.
Ty musisz ogień ten zapalić:
jelenie gnają ścigając namiętny księżyc –
a jego srebro rogi im oblepia.

Dalsze wiersze na str. 10

teatrnn.pl

w którym żyjemy

BRUDNA ROBOTA I ...MŁODZIEŻ

„Kto będzie jutro wykonywał czarną robotę?" Amerykański miesięcznik „FORTUNE" w artykule pod takim tytułem zastanawia się nad tym problemem. Pismo wyraża opinię, że w miarę upływu czasu coraz trudniej będzie znajdować ludzi, którzy podejmą się takich prac, jak np. zamiatanie chodników, sprzątanie naczyń ze stołów, zbieranie śmieci. Owszem, w dążeniu do uproszczenia procesów sprzątania i zmywania modyfikuje się architekturę budynków biurowych, hoteli, sal restauracyjnych i magazynów, a przemysł dostarcza coraz to lepszych zmywarek do naczyń i chemicznych środków czyszczących. W zakresie tym trudno jednak oczekiwać jakichś przełomowych wynalazków. Daniel Fraud, dyrektor firmy „Allied Maintenance Corp.", specjalizującej się w sprzątaniu i oczyszczaniu biur, fabryk i dworców, wskazuje, że niedawno firma ta zrezygnowała z mechanicznych urządzeń do mycia ścian, ponieważ okazało się, że dużo sprawniejsza pod tym względem jest gąbka i ludzka ręka.

Porównanie stanu zatrudnienia przy tzw. czarnych robotach nasuwa wniosek, że liczba sprzątaczy czy pomocniczego personelu szpitalnego stale rośnie. W ciągu ostatnich 10 lat liczba ludzi zajmujących się usuwaniem śmieci wzrosła dwukrotnie i wszystko wskazuje, że ta tendencja utrzyma się. Jednakże jest coraz mniej ludzi, którzy chcą sprzątać, wynosić baseny ze szpitalnych sal czy też zajmować się grzebaniem zmarłych.

Jakie więc wyjście? „FORTUNE" je znajduje pisząc: Coraz więcej pedagogów i socjologów wypowiada się dziś za zatrudnianiem uczącej się młodzieży. Nie ulega wątpliwości, że współczesne szkolnictwo średnie jest wysoce niewydajne. Jakakolwiek redukcja liczby godzin lekcyjnych pozwoli na zatrudnienie większej liczby młodzieży, zatrudnienie przy pracach uważanych za poślednie.

W Ameryce istnieje głęboko zakorzenione przekonanie (nie do pomyślenia w większości krajów europejskich), że zmywanie podłóg, zbieranie naczyń ze stołów, a nawet czyszczenie toalet jest dobrym wprowadzeniem w życie dla chłopców i dziewcząt ze średnich klas społecznych...

EPIDEMIA ROZWODÓW W USA

Z zawieranych obecnie każdych trzech amerykańskich małżeństw jedno kończy się rozwodem. Pisze na ten temat V. Roberts w „INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE".

Analizując przyczyny tej sytuacji, autor artykułu posługuje się przykładami. Oto np. historia Diany i Winslowa Smith. Pobrali się oni w 1957 r., mimo braku aprobaty rodziców dziewczyny. „Wówczas nie zastanawialiśmy się, po prostu działaliśmy" — wspomina Diana. Po ślubie dziewczyna porzuciła studia, natomiast jej małżonek kontynuował naukę i ukończył prawo.

W ubiegłym roku Smith'owie stali się jednym z 837 000 amerykańskich małżeństw, które przeprowadziły rozwód. Diana ma obecnie 36 lat. Jest matką dwojga dzieci. Powróciła na studia. Na pytanie, dlaczego się rozwiodła odpowiada: — Podejmując decyzję o rozwodzie brałam pod uwagę raczej sprawę dalszego ułożenia swego życia, a nie rozważałam tego, co robię w danej chwili. Kiedy po pewnym czasie swego małżeństwa zdałam sobie sprawę, jak się cofam, zaczęłam się zastanawiać, jak się wydobyć. Wyzwalałam się ze starych uwikłań i doszłam do wniosku, że on — Winslow — był kimś, od kogo musiałam się uwolnić. Znów zaczęło się liczyć moje ja, od nowa poczułam się młoda. Wystąpiłam o rozwód, ponieważ uznałam, że jest to jedyna droga prowadząca do mego rozwoju jako osobowości ludzkiej — utrzymuje pani Smith.

Autor artykułu konkluduje: jeżeli można mówić o jakimkolwiek zgodnym poglądzie na temat przyczyn rozwodów, to jest nim twierdzenie, że „małżeństwo przyniosło rozwianie wielkich nadziei". Współcześni ludzie liczą, że małżeństwo da im więcej niż liczyli na to ich przodkowie, ale nie chcą nic więcej robić, ani też z niczego zrezygnować.

Tradycyjne małżeństwo służyło pewnym określonym celom, takim jak np. sprawom zapewnienia bytu, wychowaniu dzieci itp. We współczesnym świecie miłość uważana jest często za jedyny warunek wymagany od partnera, z którym zawiera się związek małżeński. Nowe oczekiwania kolidują z tradycyjnymi, szczególnie gdy są wpajane w świadomość ludzką przez środki masowego przekazu ujmujące istotę małżeństwa w sposób komercyjny. Oto wypowiedź na ten temat pewnego sprzedawcy piwa: „Macie przed sobą tylko jedno życie, a więc korzystajcie, ile możecie".

Ludzie wstępujący w związki małżeńskie nadal wypowiadają słowa przysięgi: „nie opuszczę cię aż do śmierci", ale dla wielu z nich oznacza to po prostu — do czasu, kiedy nie znajdę nowego partnera, kogoś lepszego.

Dziś o wiele łatwiej niż dawniej uzyskać rozwód. W wielu stanach przepisy uległy znacznemu złagodzeniu. Dawniej osobę rozwiedzioną uważano za obciążoną jakimś piętnem, dziś to na ogół zanikło. Na zmiany w stosunkach rodzinnych wpływają też migracje.

HANDEL DZIECMI

Na ten temat pisał niedawno z Paryża red. PAP, St. Kryczyński. Pewna para małżeńska zapłaciła prostytutce za noworodka wagi 3 200 g 20 tysięcy franków.

Jak to się stało? Państwo Girard chcieli adoptować dziecko. Młoda matka z kolei nie chciała wychowywać swego; znalazła się pośredniczka. Pan Girard ogłosił dziecko za swoje nieślubne, wziął je do siebie, a matce w charakterze bezzwrotnej zapomogi dał 20 tysięcy. Wszyscy czworo zostali aresztowani i stanęli przed sądem.

Tak więc we Francji istnieje handel dziećmi. Skąd się bierze? Jego główną przyczyną jest nadmierny „popyt", a zbyt mała „podaż" dzieci, które można by adoptować, co wynika z właściwości francuskiego ustawodawstwa w tej dziedzinie. Co siódme małżeństwo francuskie jest bezdzietne, co roku 30 tysięcy małżeństw i osób samotnych składa podania o adopcje. Zeszłego roku załatwiono pozytywnie jedynie 4 300 podań.

INNY PLAC PIGALLE ?

We Francji od kilku miesięcy trwa ofensywa przeciwko prostytucji. Zamknięto hotele na placu Pigalle i nielegalne luksusowe domy schadzek. I co? Właśnie na ten temat pisze tygodnik „L'EXPRESS".

Sobota wieczór na placu Pigalle. Na drzwiach bardzo specjalnego baru z ulicy Frochot widnieje duża kłódka, co wcale nie przeszkadza kilku blondynkom wprowadzać klientów bocznymi drzwiami. Mogłoby się wydawać, że wybiła godzina stanowczości i zamykania lokali. 1 grudnia 1973 roku, kierowane przez panie C., B., i M. nielegalne, luksusowe domy schadzek dla dobrze sytuowanych klientów przyjmowały swych bywalców po raz ostatni. Przed pożegnaniem się wymieniono jednak numery telefonów nowych mieszkań...

W walce między Kodeksem Karnym a kodeksem środowiska realia pozostają te same, ale zmieniają się hasła. Zamyka się hotele? Za radą sutenerów prostytutki kupują mieszkania lub pokoje. 18 grudnia w Grenoble izba karna uniewinniła szesnaście prostytutek, które sprzedały swój apartament koleżankom po fachu. W imię świętego prawa własności.

Zdaniem komisarza Jaques Genthiala mimo wszystko jednak najstarszy zawód świata zaczyna przeżywać we Francji regres. Według niego w kraju jest obecnie 13—18 tysięcy prostytutek „zawodowych", podczas gdy przed dziesięcioma laty było ich 25 tys. Argument ten odpiera pani Marzluff, która kieruje w Nicei schroniskiem dla „zagrożonych moralnie" dziewcząt. Stwierdza ona: „Nie ma tygodnia, żeby nie przyjeżdżały tu młode paryżanki zwabione dyskretnym czarem drobnego ogłoszenia i mirażami Wyrzeża. A liczba nieletnich prostytutek wzrasta z dnia na dzień".

We Francji istnieje abolicja: kobieta jest panią własnego ciała, może więc — jeżeli chce — uprawiać prostytucję. Walczy się ze stręczycielem, który zmusza kobietę do nierządu dla jego wyłącznej korzyści i który — dzięki pieniądzom, jakie mu ów proceder przynosi — staje się jednym z filarów środowiska. Ale ta walka wcale nie jest łatwa. Policjanci zarzucają sędziom, że są zbyt łagodni w ferowaniu wyroków...

KRADZIEŻ DZIEŁ SZTUKI

Najcenniejsze kolekcje dzieł sztuki, światowe zbiory muzealne i galerie prywatnych kolekcjonerów są coraz bardziej zagrożone ze strony pojedynczych przestępców i zorganizowanych gangów, dokonujących różnego rodzaju włamań. Jest to zjawisko coraz powszechniejsze i przybierające na sile. W jaki sposób chronić kolekcje? Temat ten podjął londyński dziennik „FINANCIAL TIMES".

Kilka przykładów: W Antibes w południowej Francji złodzieje ukradli dziesięć obrazów Picassa i jedną litografię z Muzeum Picassa, znajdującego się w niezabezpieczonym XIV-wiecznym zamku. W kościele parafialnym Mirano złodzieje wyważyli dwoje drzwi, odsunęli marmurowy ołtarz i zabrali obraz św. Antoniego pędzla Tiepolo. Dzieło to — zbyt znane, aby mogło być sprzedane — było razem z innymi arcydziełami, znajdującymi się w kościele, ocenione na 3 300 funtów szterlingów, co stanowi jedynie ułamek jego rzeczywistej wartości. W Cincinnati (USA) dwaj osobnicy obezwładnili strażnika w Taft Museum: ich łupem padły dwa Rembrandty. W pięć dni później zostały odzyskane w nieuszkodzonym stanie: muzeum zapłaciło okup w wysokości stu tysięcy dolarów.

Oblicza się, że w ciągu jednego roku w jednych tylko Włoszech kradnie się lub nielegalnie wydobywa, a następnie eksportuje (głównie do Szwajcarii) dzieła sztuki o łącznej wartości ponad 20 mln funtów szterlingów!

Kradzież ułatwia słabe zabezpieczenie skarbów kultury. I tak np. w maju ub.r. policja, udając przemytników, odzyskała dzieło Tiepola, skradzione w parafialnym kościółku w Rovetta. Okazało się, że jedynymi stróżami owego dzieła byli 84-letni proboszcz i jego 82-letnia gospodyni.

W Paryżu, pomijając już sam fakt kradzieży, uderza groteskowy prawie przebieg dokonywanych przestępstw. Ostatnio trzej bandyci, przebrani jako dostawcy, wkroczyli do jednego z apartamentów, przetrzymali „na muszce" 15 osób i zdjęli ze ścian 31 wartościowych obrazów. Przykład jeszcze bardziej zdumiewający: 23-letni marynarz floty handlowej usiłował wyjść z Jeu de Paume, pawilonu Lurwru, poświęconego impresjonistom, z obrazem Van Gogha „Sypialnia w Arles" wartości 420 tysięcy funtów. A znów w Grenoble inny młody człowiek ukrył Renoira pod marynarką i zmierzał do drzwi wyjściowych miejskiej galerii sztuki. Sytuacja stała się tak poważna, że rząd utworzył specjalny wydział do zwalczania tego rodzaju przestępstw, przyznając mu swobodę działania.

Charakterystyczne, choć zrozumiałe, że tylko nieliczne ze skradzionych dzieł trafiają na aukcję. Większość z nich udaje się odzyskać wcześniej przed tym, nim mogły tam trafić; czasem dzieła te znikają w willach bogatych kolekcjonerów prywatnych lub są niszczone. Nowym zjawiskiem jest swego rodzaju „kidnaperstwo" dzieł sztuki, zwłaszcza obrazów, w celu uzyskiwania za nie okupu od towarzystw ubezpieczeniowych. Wynosi on zazwyczaj 10 proc. od ubezpieczonej wartości obrazu, chociaż — przynajmniej w W. Brytanii — towarzystwa ubezpieczeniowe energicznie zaprzeczają jakoby wykorzystywały swe kontakty w świecie przestępczym dla zawierania transakcji ze złodziejami.

DŁUŻSZE STUDIA

Tygodnik „DIE ZEIT" zwraca uwagę na fakt, że studia na wyższych uczelniach NRF ciągną się dłużej niż przewidują programy. Według powszechnej opinii należy koniecznie zreformować studia, które na uniwersytetach trwają obecnie przeciętnie sześć lat i cztery miesiące.

Dlaczego droga do końcowego egzaminu opóźnia się? Na długość okresu studiów wywierają wpływ czynniki od dawna znane: przeciążenie wielu dziedzin nauki zbytecznym balastem materiałowym, wadliwie organizowane i koordynowane plany studiów. Rozpoczynający je młody człowiek „pływa" co najmniej jeden lub dwa semestry zanim w ogóle może rozpocząć naukę. Innym ważnym czynnikiem, wydłużającym studia, jest praca zarobkowa studentów. 40 proc. studentów pracuje w czasie ferii, większość z nich ponad 39 godzin tygodniowo. Podczas zajęć na uczelniach wciąż jeszcze pracuje zawodowo 20 proc. ogółu studentów.

Serce 16-letniej dziewczyny, która zginęła w wypadku, bije teraz w piersiach 25-letniego Francuza, Allaina Riffaudota. Przeszczep — był jedyną szansą utrzymania go przy życiu. Riffaudot pocałował teraz kobietę, która nie opuściła go w najtragiczniejszych dla niego chwilach.

SZOFERACY

Alojzy Sroga

NA podstawie znajomości wielu życiorysów żołnierzy 1 dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki mogę sądzić, że łatwiej było początkowo znaleźć tam znakomitych kawalerzystów niż szoferów. Nie brakło przedwojennych ułanów, strzelców konnych, bo takie były przed wojną pułki Wojska Polskiego.

A tu już trzeba co najmniej — dla 1 dywizji i dla 1 pułku czołgów — 300—400 szoferów i kierowców-mechaników.

Znaleziono trochę autentycznych szoferów, traktorzystów, oraz takich, którzy — głównie w Związku Radzieckim — otarli się o te zawody, w każdym razie dumnie oświadczali, że umieją jeździć. Życie miało weryfikować te kwalifikacje.

Pewną grupę kierowców otrzymano wraz z nowymi samochodami lub czołgami. Przy nich, jak i przy autentycznych fachowcach, trwała nauka zawodu, prowadzona nierzadko metodami chałupniczymi, nie mającymi nic wspólnego z normalnymi kursami. Za tę naukę przychodziło niekiedy płacić pewnymi szkodami. Nie tylko zresztą ci uczący się popełniali błędy. Ówczesnemu chorążemu Kazimierzowi Underce, oficerowi technicznemu 1 kompanii samochodowej, udało się załatwić przydział studebackerów. Sposób był prosty, początkowo nieodkryty: „na majora" lub nawet „generała majora". W Armii Radzieckiej do stopnia kapitana włącznie noszono małe gwiazdki, powyżej — od majora poczynając — duże. W Wojsku Polskim tego rozróżnienia nie było. Przypinano do naramienników takie gwiazdki, jakie były — małe lub duże. I chorąży mający jedną dużą gwiazdkę — już wśród nieznających polskich stopni uchodził za majora. A ponieważ chorąży Underko — to człowiek odpowiedniej postury, przeto dla niektórych cywilów był generałem majorem, także przecież noszącym jedną gwiazdkę. Początkowo prostował pomyłki. Potem, gdy stwierdził, że jednak łatwiej załatwiać sprawy jako „major" lub „generał major" niż chorąży — dla dobra służby nie wyprowadzał z błędu.

Tak było i z przydziałem studebackerów. Przyszły one — jak to mówią fachowcy — własnym chodem z Iranu aż na Powołże. Prowadzili je nierzadko kierowcy o skromnych kwalifikacjach, którzy nigdy nie zetknęli się np. z zastosowaniem w wozach urządzeń hydraulicznych, albo też z hamulcem ręcznym na wale kardana.

W rezultacie nowe wozy — nie wszystkie — miały popalone sprzęgła, powybijane łożyska. Z miejsca trzeba więc było dokonywać napraw samochodów, ale jednocześnie uczyć, uczyć nowicjuszy. Stosunkowo największą wiedzę techniczną mieli szoferzy pochodzący ze Lwowa, oni też stawali się nieetatowymi nauczycielami.

No i jakoś 1 dywizja poradziła sobie z problemem szoferów.

Gdy jednak ona opuściła sielecki obóz i zaczęły tu powstawać kolejno 2, 3 dywizje piechoty, liczne jednostki artyleryjskie, wyposażone w transport samochodowy — szoferski problem spędzał sen z oczu ludzi za to odpowiedzialnych.

Dalej, oczywiście, trwa nauka w różnych pułkach i dywizjach, nauka prowadzona metodami chałupniczymi. Już jednak z 4 pułku artylerii ppanc — całą grupę przyszłych szoferów kieruje się na kurs pod Moskwą. Z batalionu kobiecego, który przecież pod Lenino posłał tylko jedną kompanię fizylierek, skierowano 25 dziewcząt do oficerskiej szkoły wojsk samochodowych, zaś 75 na kursy szoferskie.

Na miejscu, w obozie sieleckim, staraniem kwatermistrzostwa 1 Korpusu także rozpoczęto szkolenie szoferów. W sposób pośredni można się dowiedzieć, że w listopadzie 1943 roku uczyło się zawodu szoferskiego 295 osób. Dedukuję, na podstawie zapotrzebowania na benzynę. Ponieważ na jednego słuchacza przypada 10 godzin jazdy, wyniesie to 2950 godzin nauki. Zużycie paliwa w warunkach szkolenia jest duże, 100 km pochłania około 35 litrów, przeto benzyny potrzeba 10.325 kg...

W ten oto sposób wychodzi owa liczba 295 uczących się.

Refleksje budzi, oczywiście to znikome quantum nauki. 10 godzin! Toż ile krzyku — przez wiele lat po wojnie — było o to, że amatorzy mają u nas tylko 10—12 godzin jazdy. Tu zaś na ciężkim wozie usiłowano nauczyć w ciągu 10 godzin prawidłowego jeżdżenia... Inna rzecz, że nie było czasu. Reszty będziesz się, bracie, uczył jeżdżąc, reszty nauczy cię życie.

A właśnie, życie! Uczyło ono nie tylko szoferskich umiejętności, ale także bycia wojskowym szoferem.

Przeszli taką edukację niektórzy kierowcy 1 pal. już podczas marszu dofrontowego. W rejonie Smoleńska kilku z nich „ochrzcił" — jak to sami nazwali — generał brygady Zygmunt Berling, za świecenie świateł, które mogły zdemaskować przemarsz dywizji, tak poszukiwanej przez hitlerowców.

Po latach, w trakcie prac nad książką „Początek drogi — Lenino" poznałem nazwiska tych „ochrzczonych", a od jednego z nich uzyskałem ówczesną fotografię. Podczas wizyty u Zygmunta Berlinga, gdyśmy kręcili film „Spotkanie z generałem", chodziło nam w pewnym momencie o bardzo osobiste wspomnienia o ludziach.

Wydobyłem ową fotografię.

— Czy pamięta pan, panie generale, tego podoficera?

Przyjrzał się.

— Znajoma sylwetka, ale... — zrozumiały gest. Tylu było żołnierzy.

— Dostał od pana po zębach za świecenie świateł pod Smoleńskiem.

Śmiech, szczery, serdeczny, potem już poważne refleksje.

— No cóż, rzeczywiście w paru wypadkach tak się zdarzyło. Wolałem, jednak wybić zęby kilku durniom, którzy nie rozumieli zakazu świecenia i rozpalania ognisk, niż narazić dywizję na bombardowanie przez niemieckie lotnictwo.

— Ano, prawda. W każdym razie ta nauka nie poszła na marne; „ochrzczeni" szoferzy przekazywali innym, czego nie godzi się czynić w strefie przyfrontowej.

Inną naukę przeszedł Jan Bielecki, także żołnierz i szofer w 1 dywizji. Nie przestrzegając kiedyś ostrożności stuknął lekko wóz kolejnego dowódcy dywizji, generała brygady Wojciecha Bewziuka.

Nie ma co kryć — kosztowało go to jedną belkę.

— Od tego czasu wiem — śmieje się Bielecki, do dziś będący kierowcą — że z wozami przełożonych trzeba postępować jak z jajkiem.

To już jednak, jak się rzekło, była nauka życia.

Patrząc w kategoriach nieco szkolnych, kursowych można stwierdzić, że każdy większy postój armii, dywizji w okresie początkowym wykorzystywano na naukę.

Mieczysław Maksym, szofer 6 baterii (haubicznej) 1 pułku artylerii lekkiej, wspomina, że właśnie pod Smoleńskiem, po bitwie pod Lenino, zorganizowano kurs dla kierowców. Nie wszyscy bowiem dawali sobie nadal radę z ciężkimi studebackerami. 120 koni mechanicznych, trzy osie, przedni i tylny napęd, 10 kół — była to potężna maszyna. Ale też i odpłacała się ona za dobrą opiekę. Tym studebackerem, którym Maksym rozpoczął jazdę od Sielc — dojechał do Berlina i tam wprowadzał jako pierwszą w ich baterii swoją haubicę do walki.

Nie inaczej z nauką było na Wołyniu. Wspominałem już o organizowanym kursie reklamowanym przez ówczesną prasę wojskową. Nie tylko jednak uczono nowych adeptów zawodu, także — starano się weryfikować już jeżdżących. I jak to zdarza się w życiu — ktoś odpadał, mimo że był niezłym szoferem.

— Był u nas w redakcji „Zwyciężymy" — wspomina Michał Woźniszczuk — starszy wiekiem, kierowca. Polak z Rosji. No, już chyba ze dwadzieścia lat jeździł, ale prawa jazdy nie miał. Wezwano i jego, pod Kiwercami, na egzamin. Nie zdał go. Musiał odejść. Szkoda nam go było. Dobry był dziadzka i dobry kierowca.

Lublin 1944 r. Fot. M. Trachman

Tak to jednak mści się zawsze wymaganie choćby najmniejszego cenzusu.

No, a potem był Lublin.

Do dnia 1 grudnia 1944 zmobilizowano na wyzwolonych terenach — jednak najbardziej rolniczych — jak podaje płk dypl. dr Wacław Jurgielewicz *) 2813 kierowców samochodowych i 97 traktorzystów. To dopiero po wyzwoleniu reszty kraju, w roku 1945 zasoby mobilizacyjnych kierowców i traktorzystów w dniu 1 czerwca przekraczały 12,5 tysiąca.

Jesienią roku czterdziestego czwartego — ogromnie ich brakowało. A tu 11 września wydano rozkaz o formowaniu 1 pułku samochodowego. Wkrótce — to zresztą wiązało się z niedoborem szoferów — przystąpiono do formowania 2 pułku samochodowego jako szkolnego.

Istniały, lub zamierzano w najbliższym czasie utworzyć bataliony samochodowe w ogólnej liczbie 10, do tego 14 kompanii samochodowych. No i kilkadziesiąt pułków artylerii, czołgów, a każdy pożądał — bardziej niż żony bliźniego swego — szoferów.

Trwa więc wprost gorączkowe wyłuskiwanie ludzi o tych kwalifikacjach.

... Oto kilka przykładowych dokumentów z tamtego czasu.

17 września 1944 — do dowódcy 1 pułku samochodowego:

„Załączam zlecenie dla 9-go zapasowego pułku (Majdanek) na otrzymanie 300 ludzi, celem przeszkolenia szoferskiego.

Należy niezwłocznie przystąpić do odbioru tych ludzi i do szkolenia ich". Podpisano: „Naczelnik Urzędu Samochodowego inż. płk Chriapin".

30 września — do dowódcy 9 zap. pp:

„Skierować do 1 pułku samochodowego 205 szoferów, 195 ludzi oraz 1 buchaltera i 1 maszynistkę. Z-ca Szefa Mobilizacji i Formowania WP".

(Jako żywo: to nie ja wymyśliłem podział na szoferów i ludzi).

3 października — do dowódcy 4 zapasowego pułku kawalerii w Hrubieszowie: „Skierować 200 ludzi kategorii „A" do 1 pułku samochodowego".

I tak dalej, dalej — niemal codziennie skierowania setek żołnierzy do szkolenia na kursach szoferskich.

Po kilku tygodniach już widać efekty. Mniej więcej od połowy października co dnia przybywa po kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt osób z Bronicy, po ukończeniu kursów szoferskich.

9 listopada — 19 osób, 13 listopada — 59, 15 — 46, 28 — 30 osób z Bronicy i 73 osoby z 6 batalionu, który jak można wnosić z dokumentów pełnił rolę szkolnego w tym pułku.

I niemal natychmiast sadza się tych młodych, przerażonych często, jak to choćby oddaje wiersz o tarapatach początkujących szoferów, „na maszyny". Za kierownicę, jakbyśmy powiedzieli bardziej współcześnie.

Bo 27 listopada przydzielono pułkowi 120 samochodów marki studebacker, bo już do Kowla trzeba pojechać po następną wielką partię maszyn (ponad 250 samochodów), bo 14 stycznia wyznaczono termin przysięgi pułku, który otrzymał także i swój znak rozpoznawczy: koło, a w nim litera „Z".

Przez pierwsze trzy miesiące trwa ogromny ruch kadrowy w tym pułku. Przychodzą szoferzy, ślusarze, kowale, a co sprytniejszych spośród nich kieruje się już do szkół podoficerskich, na kursy polityczno-wychowawcze, słowem — tworzy kadrę pułkową.

Minie jednak wiele tygodni i miesięcy, nim ci szoferzy zdobędą jaką-taką praktykę. Nie obejdzie

*) „Organizacja Ludowego Wojska Polskiego 1944—45". Wyd. MON.

Dokończenie na str. 6—7

Ludomir Michał Rogowski — zapomniany kompozytor

Antoni Poszowski

CMENTARZ jugosłowiańskiego Dubrownika przyjął kilku Polaków. Jednym z nich był samowolny wygnaniec — Ludomir Michał Rogowski. Na płycie jego grobowca czytamy: *Ludomir Michał Rogowski, kompozytor polski, urodzony 3.X. 1881 r. w Lublinie, zmarł 13.III.1954 r. w Dubrowniku. Drogiemu Przyjacielowi w dowód pamięci grobowiec ufundowali Zofia i Janisław Kamieńscy. Toronto — Kanada.* Często pojawiają się na płycie kwiaty, nierzadko biało-czerwone. Żywa jest także ciągle pamięć o nim w samym Dubrowniku. Historyczne Archiwum Dubrownika przechowuje największą część dorobku kompozytorskiego Rogowskiego i wydaje stopniowo jego utwory. A w kraju?

W kraju pamięć o nim i jego twórczości blednie z roku na rok. Nie tylko coraz mniej melomanów, ale także krytyków i muzyków pamięta oryginalną muzykę tego twórcy, startującego z rozgłosem w początkach XX wieku w salach koncertowych kraju i Europy. Życiu muzycznemu w Polsce należy przywrócić niespokojną postać Rogowskiego i jego twórczość. Lublin — miasto jego urodzin i młodości — winien ten powrót inspirować i akcji tej przewodzić. W 20 rocznicę śmierci przypomnijmy więc najważniejsze fakty z życia L. M. Rogowskiego.

Urodził się 3 X 1881 r. w starej dzielnicy Lublina, tuż za Bramą Krakowską, w domu „Pod Czarnym Orłem". Jego [illegible] i matka [illegible] domową, która przyczyniła się poważnie do [illegible]kiego rozbudzenia zamiłowań muzycznych (matka grała na fortepianie, a ojciec na skrzypcach). Ważną rolę inspirującą, szczególnie dla późniejszego okresu poszukiwań oryginalnego stylu jego muzyki, odegrała także piastunka, pochodząca z Białorusi. Szybko nauczył się czytania nut i od siódmego roku życia próbował komponować. Wiele z tych młodzieńczych utworów zachowało się, znajdują się one w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego — archiwum partytur kompozytorów polskich XX wieku. Wykształcenie ogólne otrzymał w warszawskim gimnazjum rosyjskim, a muzyczne w Instytucie Muzycznym Warszawskim, który ukończył w roku 1906. Już w czasie studiów był II dyrygentem Towarzystwa Śpiewaczego „Echo" w Warszawie. Następnie uzupełniał swoje wykształcenie muzyczne i ogólne za granicą. W Lipsku podjął naukę dyrygentury u A. Nikischa, oraz harmonii i kontrapunktu u H. Riemanna (1906—1907). W latach 1907—1908 kontynuuje studia muzyczne i pogłębia swoje zainteresowania okultystyką i plastyką w Monachium. Dalsze studia odbywał w Rzymie (1908—1909), od 1909 do 1911 znalazł się w Wilnie, gdzie kierował szkołą muzyczną oraz założył orkiestrę symfoniczną. W 1911 r. udaje się jeszcze do Paryża, gdzie uczy się śpiewu m. in. u J. Reszke.

Po powrocie z Paryża przenosi się do Warszawy i obejmuje kierownictwo muzyczne w Teatrze Nowoczesnym, będąc jednocześnie dyrygentem. Przed samym wybuchem I wojny światowej znów wyjechał do Francji, gdzie pozostaje aż do roku 1919. W tym czasie Rogowski był już znanym kompozytorem, dał szereg koncertów w Paryżu i zdobył liczne grono przyjaciół wśród największych współczesnych artystów (I. Paderewski, A. France, I. Duncan i inni). Poznał także W. I. Lenina i przy[illegible] się z Ilją Erenburgiem. Głównie przebywał [illegible]niu Francji, w Villafrance sur Meer. Tam [illegible]ntynuował swoją twórczość muzyczną (m. in. w [illegible]ym okresie powstały „Villafrance" i „Fantasmagorie"). Występował wówczas także z własnymi koncertami w Nicei, Monte-Carlo i Paryżu. Z tego okresu pochodzi również znany esej Rogowskiego pt. „Muzyka przyszłości. Przyczynki i szkice estetyczne", wydany później w Lublinie w roku 1922.

W roku 1921 Rogowski wrócił do kraju. Zamieszkał w Warszawie, działał jako dyrygent i kompozytor oraz zajmował się literaturą i przekładami. Był autorem licznych ilustracji muzycznych do sztuk wystawianych w teatrach Polskim, Małym, Rozmaitości, Bogusławskiego i innych. Stopniowo jednak dojrzewała w nim decyzja opuszczenia kraju. Jakkolwiek oficjalną przyczyną wyjazdu do Dubrownika był stan zdrowia, to jednak na krok taki w dużym stopniu wpłynęły trudności w znalezieniu wspólnego języka ze środowiskiem i chęć stworzenia sobie lepszych warunków do kontynuowania specyficznej, orientalno-impresjonistycznej twórczości muzycznej.

Po koncertach w Pradze i Belgradzie od grudnia 1926 roku Rogowski osiadł ostatecznie w Dubrowniku i pozostał tam aż do śmierci. Wyjeżdżał jednak kilkakrotnie na krótko, m. in. dwukrotnie z koncertami do Belgradu i Warszawy. W czasie drugiej bytności w kraju otrzymał nagrodę państwową za całokształt twórczości muzycznej i specjalną emeryturę „Pana Prezydenta", którą wypłacano mu przez rok, do wybuchu wojny. Potem o Rogowskiego zatroszczyły się władze miejskie Dubrownika, które przyznały mu m. in. bezpłatnie pokój-celę w białym klasztorze św. Jakuba.

Poza okresowym prowadzeniem chórów i rzadkimi występami z miejscową orkiestrą Rogowski bez reszty oddawał się komponowaniu, pisał rozprawy o muzyce, zajmował się filozofią, kreślił fantastyczno-okultystyczne opowiadania. Do ostatnich dni swego życia był niezmiernie czynny, stale korygował swoje partytury i nienasycenie zachwycał się słońcem oraz morzem, które, poza muzyką, uważał za niezastąpione fragmenty ludzkiego szczęścia.

Okres dubrownicki sam kompozytor ocenia następująco: *...W ciszy i samotności poklasztornej nauczyłem się znacznie więcej, niż poprzednio w pogoni za wiedzą muzyczną po całej Europie. Poprzednie moje prace, znane z moich koncertów i szanowane, przeważnie spłonęły w Warszawie. W Dubrowniku skrystalizowały się we mnie moje dążenia, znalazłem swoją własną drogę, jaką Los mi wskazał przez pieśni piastunki. Znalazłem gamy, na których budowałem melodie, fascynujące mnie przez całe życie. Pracowałem nad nimi wiele i obecnie władam ich techniką (...) jest ona zupełnie indywidualna, dobra wyłącznie dla mnie.* Dubrowicki okres można szczegółowo odtworzyć z różnorakich wspomnień kompozytora, a zwłaszcza z pamiętnika „Mój klasztor", jak również z drugiego pamiętnika „Wspomnienia".

Rogowski zmarł w samotni dubrownickiego klasztoru 13 marca 1954 roku. Oddał temu miastu najlepsze lata swego życia i przekazał mu testamentem swój dorobek muzyczno-literacki. Odtąd Rogowski i cała jego spuścizna czeka na „odkrycie", poznanie i włączenie do naszego życia muzycznego.

OD REDAKCJI: Sądzimy, że twórczością L. Rogowskiego powinna zainteresować się Filharmonia Lubelska.

W SZKOLE MALOWANI

Dokończenie ze str. 1

technologią drewna. Poza tym zupełnie nie wiedzą, jak opracowuje się dokumentację...".

Katowice dodają, że w dziedzinie wzornictwa przemysłowego „absolwenci, którzy wybrali specjalizację w projektowaniu form przemysłowych, również są przygotowani jedynie teoretycznie. Oczywiście, ten stan rzeczy odbija się na jakości prac realizowanych przez młodych plastyków".

Zdaniem członków Kolegium Rzeczoznawców Oddziału PSP w Gdańsku, kwalifikacje studentów i absolwentów krajowych uczelni plastycznych pozostawiają dużo do życzenia. Zresztą sami projektanci form przemysłowych stwierdzają, że „nieznajomość konstrukcji mechanicznych, brak obeznania w najprostszych mechanizmach, w poważnym stopniu ogranicza ich możliwości pracy w przemyśle i stwarza napięcia, które zniechęcają do współpracy z konstruktorami". Ci młodzi ludzie, przed którymi na studiach kreślono zachęcające perspektywy życiowe, po podjęciu roboty mówią wręcz, że tryb kształcenia pomieszał im w głowach! „Studia artystyczne wnoszą wiele zamętu, gdyż dotyczą raczej problemów abstrakcyjnych, nie mających zastosowania w praktyce, co młodego człowieka wypacza i odsuwa od konkretów życia". Nie dziwmy się, albowiem atmosfera najbardziej „użytkowej" uczelni sprzyja hodowli postaw „artystycznych". Kadra zasłużonych malarzy, która w różnych okolicznościach trafiła do Państwowych Wyższych Szkół Plastycznych, przyniosła z sobą stare resentymenty do „sztuki czystej", co wpływa na nieco skrzywione akcentowanie poszczególnych punktów programu nauczania.

W Krakowie także twierdzą, że dyplomanci mają ograniczone pojęcie o pracy w dziedzinie plastyki użytkowej, dysponują znikomym doświadczeniem. Jest to jakoś usprawiedliwione w zakresie form przemysłowych, ale jak wyjaśnić „nieporadność projektantów wystawiennictwa (architektura, grafika) oraz architektury wnętrz"?

Takie opinie krążą po kraju i czas najwyższy, aby trafiły w pole analitycznej uwagi szkół artystycznych i odpowiednich ministerstw, albowiem problem krzyżuje w sobie interesy jednostkowe i społeczne. Po latach trudnych zabiegów, nacelowanych na trwałe wprowadzenie plastyków do różnych dziedzin gospodarki narodowej, okazuje się, że poważna część tej młodej kadry nie może podołać zadaniom.

Zrozumiałe, że na Lubelszczyźnie dzieje się podobnie. Przede wszystkim brakuje tu architektów wnętrz, odpowiednia sekcja związku plastyków skupia co prawda 31 osób, lecz na palcach obu rąk można policzyć tych, których fachowość nie budzi zastrzeżeń. Są to z reguły ludzie, którzy otarli się o biura projektowe i „znają się na matematyce". W tej dyscyplinie plastycznej nie wystarcza już umiejętność komponowania i wyczucie koloru, naturalne w końcu przymioty każdego wrażliwego człowieka. Bez elementarnej znajomości statyki, technologii, bez wiedzy o fizjo- i psychologicznym funkcjonowaniu stosunków przestrzennych i kolorystycznych — architektura wnętrz jest dziś nie do pomyślenia. Popyt na tego rodzaju projekty zwiększa się z roku na rok, tymczasem liczba fachowców rośnie bardzo powoli. Z jednej strony prowadzi to do monopolizacji rynku przez najlepszych specjalistów, którzy sami zaczynają dyktować terminy wykonania prac, z drugiej — usprawiedliwia akceptację projektów przeciętnych, czy wręcz tandetnych. O przykłady nietrudno, wystarczy odwiedzić niektóre kawiarnie i restauracje lubelskie, albo obejrzeć choćby szafy w pewnej instytucji, wymyślone przez plastyka i rozpadające się, ponieważ mistrz nie poznał wcześniej natury drewna.

„Kłopoty" technologiczne rodzą zresztą przypadki wręcz satyryczne. Oto handel upodobał sobie w reklamowych napisach, malowanych na szkle, tymczasem na Lubelszczyźnie tylko jeden plastyk, a do tego po Akademii Sztuk Pięknych, rozgryzł tajemnice tego gatunku. Maluje solidnie, szybko i na wieki, podczas gdy napisy wykonane przez jego kolegów po fachu złażą po roku chwiejnej obecności. Lubelskie neony także sygnuje nazwisko jednego autora, co nie wynika z jakichś owocnych znajomości owego plastyka, lecz z braku godnej konkurencji. W odosobnieniu pracuje również projektantka szkła artystycznego, sprawdzająca przecież i realizująca swoje koncepcje gdzieś w Białostockiem, ale to inna kwestia.

Sądząc po wyposażeniu Muzeum Czechowicza, Urzędu Stanu Cywilnego w Puławach, po balustradach i żyrandolach Sądu Wojewódzkiego — mamy sprawnych i obdarzonych wyobraźnią metaloplastyków. Stanisław Gosławski, Andrzej Jedliczka i Przemysław Zwoliński realizują przedmioty o dużych walorach artystycznych, rzetelne pod względem technicznym.

Sporo dobrego dałoby się powiedzieć o przejrzystych informacyjnie i interesujących przestrzennie koncepcjach wystawienniczych Krystyny Kozłowskiej i Brunona Nagrodzkiego, który mimo skończenia Wydziału Malarstwa warszawskiej ASP okazuje się być zdolnym „użytkowcem", zawdzięczając to przede wszystkim sobie samemu.

Zasłużone uznanie zyskują plakaty i grafika wydawnicza, projektowane przez Zofię i Henryka Szulców, Piotra Bednarskiego, Krzysztofa Rollę i Brunona Nagrodzkiego. W ogóle chyba grafika użytkowa stoi w Lublinie na przyzwoitym poziomie.

Znamienne i potwierdzające ogólnopolską regułę: wśród wymienionych autorów, którzy swoją działalnością udowodnili sprawność warsztatu i dysponowanie inwencją twórczą, zaledwie dwóch można przypisać do młodego

Kamena str. 4

Kto nie nadąża musi spaść niżej

Jerzy Dostatni

GDYBY [illegible] odznaka zasłużonego uczestnika narad, byłbym zapewne jednym z murowanych kandydatów do jej otrzymania. Z własnej woli chodzę na różne zebrania nie częściej niż raz w miesiącu, lecz znacznie częściej muszę w nich uczestniczyć z dziennikarskiego obowiązku. Ale jakże często ja i moi koledzy po długopisie biedzimy się, aby z kilkugodzinnej narady sporządzić potem jakieś dające się przeczytać sprawozdanie.

A wszystko dlatego, co nie ja pierwszy stwierdzam, że oduczyliśmy się prowadzenia prawdziwych dyskusji, sporów merytorycznych, reagowania na wystąpienia poprzedników — ograniczając się najczęściej do odczytania z kartki czegoś, co było wyciągiem ze sprawozdania statystycznego, wyciągiem ograniczającym się tylko do pozytywnych pozycji owego sprawozdania. Zresztą nie wszyscy potrafią odróżnić rzeczywiste pozytywy od pozornych. Bo jeżeli np. w WZSP mówią, że w ramach usług dla ludności uruchamiają punkt naprawy peruk, co m. in. przyczyni się do zwiększenia wartości usług o dziesięć procent — to nie tylko ja klasyfikuję to jako zamazywanie rzeczywistości. Mniejsza o peruki, chodzi o owe dziesięć procent w porównaniu z dochodami ludności, które w tym samym czasie wzrastają o ponad dwanaście procent. Tylko „dyskutant" udaje, że o tym nie wie, albo rzeczywiście nie wie — natomiast faktem pozostaje, że od dawna mocno zaniedbane usługi i tak nie nadążają za siłą nabywczą rynku.

Jedną z nielicznych okazji do prawdziwych dyskusji były imprezy, organizowane przez Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa. Chyba dlatego, że uczestników zdołano przekonać — zresztą nie bez oporów i nie bez wyjątków — iż na tych imprezach każdy mówi we własnym i tylko własnym imieniu, że nie reprezentuje żadnej organizacji, żadnego przedsiębiorstwa, żadnej władzy. Stąd prowadzone tam dyskusje są rzeczywiście dyskusjami, zderzają się poglądy, krzyżują propozycje.

Gdybym np. napisał od siebie, że mimo niewątpliwych korzyści dla naszej gospodarki jako c a ł o ś c i ze stosowania w transporcie kontenerów — kolej ich nie lubi, bo stwarza to jakieś kłopoty j e d n e m u kontrahentowi czyli jej, — to niewątpliwie otrzymałbym z naszej DOKP sążniste sprostowanie. Także w sprawie owych pierwszych kontenerów, rdzewiejących na jakiejś bocznej rampie. Gdybym któremuś z naszych przedsiębiorstw instalacyjnych zarzucił, że jego produkcja pomocnicza jest prowadzona technologią tradycyjną, że w Lublinie przy produkcji płyt budowlanych należy wprowadzić kontrolę jakościową analogiczną jak w innych resortach przemysłu — spotkałbym się zapewne z zarzutem rozrabiactwa. Gdybym projektantom cementowni Chełm II wytknął, iż trzymają się kurczowo tradycyjnej metody produkcji na mokro, podczas gdy technika światowa coraz szybciej przestawia się na metodę produkcji na sucho — wywołałbym zapewne burzę protestów.

Tymczasem gdy o takich i podobnych sprawach mówi się na sesjach naukowych czy kursach szkoleniowych, organizowanych przez lubelski oddział TNOiK-u — nikt się nie oburza, nikt, przynajmniej oficjalnie i potem w czasie przerw, nie ma pretensji. Bo w tych dyskusjach nie chodzi o ocenianie, ale o szukanie dróg, prowadzących do ulepszania naszej gospodarki.

W ciągu trzyletniej kadencji obecnego zarządu Oddziału, która właśnie się kończy, zorganizowano ogółem 22 naukowe konferencje, w których uczestniczyło 9950 osób. Głównie z województwa lubelskiego, ale nie tylko, jako że lubelskie konferencje zyskały sobie wyjątkowe uznanie w całym kraju i prawie na każdej z nich można spotkać uczestników dosłownie z każdego województwa. A przecież uczestnictwo jest całkowicie dobrowolne, połączone w dodatku z kilkusetzłotowym wydatkiem — widocznie się jednak opłaca. Warto podkreślić, że prawie wszystkie referaty, przygotowywane bądź przez naukowców, bądź przez doświadczonych praktyków, także legitymujących się stopniami naukowymi, są drukowane i z góry rozsyłane uczestnikom, same konferencje zaś w zasadzie mają formę wyłącznie dyskusji.

Przysłuchiwałem się niektórym dyskusjom, czytałem streszczenia pozostałych. Nie ze wszystkimi wystąpieniami można się zgodzić, czasem dyskutanci mówią tylko o tym, co ich zdaniem należy zmienić, nie proponując jak to należy zrobić. Mam także pretensje do wielu komisji wnioskowych, że proponują zbyt ogólnikowe teksty uchwał, jakby obawiając się, że mogą być posądzone o nie wiadomo jakie herezje. Ale zawsze, podkreślam znaczna większość dyskusyjnych wystąpień ma swoje źródło w trosce o ulepszenie istniejącej sytuacji, o osiągnięcie lepszych niż dotychczas efektów, o lepsze zarządzanie naszą gospodarką, o sprawniejszą organizację pracy. Zresztą nie tylko gospodarką zajmują się owe konferencje. Tematem jednej z [illegible]wanie gminą przez naczelnika gminy", drugiej zaś „Koła zabytków w kształtowaniu świadomości społecznej". Kto nie bywał na konferencjach, a interesuje się poruszanymi tam sprawami, ma do dyspozycji publikacje przed — i pokonferencyjne — w ciągu owych trzech lat razem 230 arkuszy wydawniczych. Jest nad czym pomyśleć i pedyskutować nawet w najmniejszym zakładzie pracy.

Idea naukowej organizacji pracy nie jest, jakby się mogło wydawać, produktem szczególnie współczesnym. Problemy te nękały naszych naukowców już w 1918 roku, kiedy to w Warszawie, Krakowie i Lwowie powstały pierwsze koła, zajmujące się tą problematyką. Równo przed 45 laty powstał w stolicy Instytut Naukowej Organizacji, przekształcony kilka lat później w Instytut Naukowej Organizacji i Kierownictwa, który przetrwał aż do roku 1947, gdy zmienił charakter i nazwę na Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa. Lubelski Oddział TNOiK skończył właśnie 16 lat. Może właśnie z powodu tego młodzieńczego wieku nie może dorobić się odpowiednich pomieszczeń, urządzając nie tylko omawiane konferencje, ale także różne kursy wyłącznie w wynajmowanych salach. A kursów tych organizuje się rocznie około 35. Problematyka jest znów bardzo szeroka. Jeżeli przy każdym temacie nie powtarzać określeń „organizacja pracy" lub „technika pracy", pozostaje taka przykładowo problematyka: zarządzanie w rolnictwie, proces inwestycyjny, praca mistrza, gospodarka magazynowa, analiza wartości, elektronowe automaty obrachunkowe, — finansowa, rachunek kosztów itp.

Obok tych kursów jak również licznych prelekcji w terenowych kołach Towarzystwa prowadzono lub prowadzi się jeszcze studium organizacji pracy służb socjalnych i aktywu organizacji społecznych (we współpracy z CRZZ i WRZZ), studium organizacji dla pracowników (oba ogólnokrajowe, w każdym ponad 400 uczestników) czy też wojewódzkie studium policealne celem przygotowania techników ekonomistów ze specjalnością „organizacja i zarządzanie". A więc ludzi z zupełnie nowym zawodem, którego nawet jeszcze nie przewidziano w żadnym taryfikatorze, a których wielki brak odczuwa się coraz bardziej dotkliwie wszędzie tam, gdzie poprzez najtańszą inwestycję, jaką jest szkolenie, pragnie się rzeczywiście uzyskać lepszą jakość, wyższą wydajność, większą produkcję.

Zresztą chodzi nie tylko o specjalistów. Według informacji, zebranych przez Wojewódzki Ośrodek Informacji Naukowo-Technicznej i Ekonomicznej, na 4121 dyrektorów i ich zastępców, pracujących na Lubelszczyźnie, kwalifikacje 768 wymagają uzupełnienia, podobnie jak 1116 kierowników wyższego szczebla (na 7266) i 1822 kierowników średniego szczebla (na 10582), nie mówiąc już o ponad dwóch tysiącach tzw. dozoru podstawowego i prawie 14 tys. personelu wykonawczego. Podejrzewam, że liczby te są raczej zaniżone, jako że wynikają one z materiałów przesłanych przez same zakłady pracy.

Lubelski oddział TNOiK liczy 1408 członków indywidualnych, z których pokaźna część bierze aktywny udział w różnych formach działania Towarzystwa. Widząc w tym zarówno osobistą przyszłość jak również wielorakie korzyści, płynące dla zakładów, którymi kierują lub w których pracują. Dziś już nie tylko technika, ale także organizacja pracy i zarządzanie skaczą do przodu olbrzymimi susami. Kto nie nadąży, musi spaść niżej, takie jest obiektywne prawo selekcji i w tej dziedzinie. Nic więc dziwnego, że ludzie rozsądni będą stale uzupełniali swoje kwalifikacje, stąd też kandydatów na różne formy szkolenia i dyskusji TNOiK-owi raczej nie zabraknie. A przecież co roku ta rzesza powiększa się o tysiące absolwentów szkół wyższych i średnich, dla których nawet propedeutyka organizacji pracy i zarządzania stanowi zupełnie nieznaną problematykę.

Naglący wniosek w tej sprawie pozwalam sobie zgłosić na walne zebranie Oddziału.

---

pokolenia. Tymczasem wiadomo, że w ostatnich latach związek plastyków powiększył się o kilkunastu absolwentów uczelni artystycznych. Starsi nie dopuszczają? Taka odpowiedź byłaby sensowna 8—10 lat temu, lecz dziś nie znajduje potwierdzenia w faktach. Rynek lubelski jest tak chłonny na prace użytkowe, że mimo wysiłków PSP trudno go zaspokoić. Jeśli w roku 1964, a więc jubileuszowym, obroty przedsiębiorstwa nie sięgały trzech i pół miliona złotych, to w minionym zbliżyły się do kwoty dwunastu milionów. Prawdziwej diagnozy poszukać należy we wstępnej części artykułu.

Inna kwestia: lubelska plastyka użytkowa sprawdza się przede wszystkim w gatunkach niejako kameralnych, nie wymagających rozbudowanego i nowoczesnego warsztatu. Nie przekreślają trafności tej obserwacji bardzo dobre realizacje wnętrzarskie (i niektóre pomnikowe) Juliusza Kłeczka oraz Leszka Dziekońskiego, nie zmienia postaci rzeczy kilka zaledwie interesujących mozaik, autorstwa Władysława Filipiaka, Ryszarda Lisa i L. Dziekońskiego. Problem tkwi w ograniczeniu technicznych możliwości działania.

Jest to słabość ogólnopolska, dość powiedzieć, że w takiej podstawowej dziedzinie jak liternictwo, graficy polscy posługują się technikami z epoki Gutenberga, że z zachowaniem wszelkich ostrożności dopiero wprowadza się gdzieniegdzie maszyny do tzw. składu fotograficznego. Sytuację wyprofilował zespół okoliczności zewnętrznych, nie ma co dopatrywać się w tym objawów nieufności plastyków do posługiwania się nowymi narzędziami pracy, aczkolwiek niektóre opinie nie wykluczają takiego stosunku. Przestarzały warsztat w parze z brakiem w Lublinie specjalistów wzornictwa przemysłowego powoduje przecież konkretne i kłopotliwe fakty. Otóż na naszym terenie nie istnieje instytucja stałej współpracy plastyków z zakładami przemysłowymi. Jednostkowy kontakt Jerzego Kursy, absolwenta poznańskiej PWSSP (architektura wnętrz) z Łukowską Fabryką Obuwia, polegający na estetycznej konsultacji, jest wyjątkiem potwierdzającym regułę. Plastycy twierdzą, że to właśnie przemysł odwraca się od nich plecami. Jest w tym nieco prawdy. Zapytajmy jednak, co takiego zawiera rzekomy worek — chodzi o pojemność — plastycznych propozycji pod adresem przemysłu. Wykonanie planszy reklamowej? Tak. Zaprojektowanie f u n k c j o n a l n e j kolorystyki hal produkcyjnych? Kto się odważy na przyjęcie takiej odpowiedzialnej roboty, nie posiadając kierunkowego wykształcenia? Mam nadzieję, że nikt. Dlaczego jednak nie ma chętnych na objęcie odpowiedniego etatu w kraśnickiej Fabryce Łożysk Tocznych, nakładającego obowiązek tylko dwukrotnej obecności w zakładzie — w okresie miesiąca? Podobno klimat nie sprzyja.

O owym klimacie pisano wielokrotnie i nie bez powodów, albowiem prawdą pozostaje, że kierownictwa zakładów przemysłowych nie wykazują zrozumienia dla specyfiki projektowania plastycznego i nie dostrzegają korzyści, jakie ono daje. W rezultacie obie strony, jeśli to możliwe, obchodzą się z daleka. Warto jednak poinformować, że precedens łukowski przynosić zaczyna następstwa natury propagandowej. Oto chełmska fabryka obuwia zamierza zatrudnić plastyka, oto zakłady przetwórstwa owocowo-warzywnego w Milejowie przymierzają się do generalnego unowocześnienia etykiet, prosząc o pomoc lubelskie PSP. Dotychczasowe etykiety są tak straszne, że trudno powiedzieć, ile pieniędzy ominęło zakład z powodu ich „urody".

W Lublinie brakuje wysoko kwalifikowanych fachowców niektórych dyscyplin plastyki użytkowej, ale fakt ten nie tłumaczy „wyprania" miasta z form rzeźbiarskich. Z mniejszym lub lepszym skutkiem działają na terenie Lubelszczyzny tacy rzeźbiarze, jak Stanisław Strzyżyński, Wiesław Markowski, Sławomir Mieleszko, Marian Świst, Tadeusz Skwarczyński a także Juliusz Kłeczek. W porównaniu z sytuacją sprzed lat, powiedzmy, ośmiu, urodzaj to niebywały. Rzeźbiarze ci mają sporo zleceń, zrealizowali przynajmniej kilka interesujących pomników, drugie tyle wpisując w przeciętność. Nie zawsze jest się w końcu artystą. Chodzi przecież o rzecz okazjonalnie istotniejszą, właśnie o wspomniane „wypranie" miasta z elementów rzeźbiarskich. Ani władzom lubelskim, ani prezesom spółdzielni mieszkaniowych nie przyszło nigdy na myśl, że obezwładniającą monotonię osiedlowych placów i skwerów można by zlikwidować przez postawienie odpowiednio atrakcyjnej rzeźby. Wykonanej w tanim, lecz trwałym tworzywie, niewielkiej, lecz wartościowej plastycznie. Ostatnio Wrocław i Bydgoszcz zafundowały sobie „przestrzeń rzeźbiarską", o czym wspominam z zazdrością i dla celów dydaktycznych.

Marian Świst: Projekt pomnika na szlaku I Armii WP (dla Chełma Lub.).

Powodem zaś napisania owego artykułu jest przeczucie skali rewolucji gospodarczej i przeobrażeń społecznych, jakie niewątpliwie przyniesie budowa Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Także w kulturze musimy liczyć się z tym faktem.

A zacząć wypadałoby chyba od polepszenia warunków lokalowych Pracowni Sztuk Plastycznych, nad którym to przedsiębiorstwem wisi groźba eksmisji z dotychczasowych pomieszczeń. Wyprowadzić PSP z budynku przy ul. Narutowicza trzeba, to nie ulega wątpliwości, albowiem w tych pokoikach można od biedy urzędować, nie można natomiast prowadzić działalności programowej, nie mówiąc o organizacji pracowni i warsztatów plastycznych. PSP nie dysponuje ułamkiem zaplecza technicznego, co odbija się negatywnie na ilościowym i jakościowym rozwoju plastyki użytkowej w Lublinie. Przeprowadzka, jeśli to możliwe, powinna być tyle szybka, co racjonalna, tej sprawy nie wolno rozkładać na raty. Stara uchwała władz miejskich mówiła o przekazaniu całego budynku przy ul. Pstrowskiego 12 na cele instytucji kulturalnych — do roku 1970. Część tego obiektu znakomicie nadawałaby się dla potrzeb PSP.

Spore zyski przynosi to przedsiębiorstwo państwu, choć nie posiada własnego środka lokomocji. Rozumowanie trąci paradoksem i brakiem logicznego związku, lecz dobrze chyba ilustruje status instytucji.

Ireneusz J. Kamiński

Paryż za 110 dolarów (III)

4 z 68

Maria Bechczyc-Rudnicka

KTÓREGOŚ nie[illegible] — Wie- [illegible] czytelników napopojącą wiadomością w ko[illegible]ndencji własnej z Paryża: 68 tytułów na afiszu. Prawda to była najprawdziwsza. Policzyłam. Oczywiście nie afisze, tylko propozycje teatralne wstępnego wykazu tygodnika *l'officiel des spectacles*, nabytego przeze mnie za 0,60 f. Policzyłam post factum, czyli po melancholijnym powrocie z dwunastodniowej wyprawy do rozkosznego miasta, które za „moich" czasów przezywano Babilonem.

Sześćdziesiąt osiem „tytułów". Ludzie kochani! Z tego sześćdziesiąt cztery — widziałam jedynie na stronach wspomnianego *officiela*. No, rzecz jasna, nikt by nie mógł ode mnie żądać, bym zmieściła w dwunastu wyasygnowanych mi wieczorach aż cały teatralny Paryż... Nie jestem operatywnym dziennikarzem, jestem literato-dziennikarzem, że pozwolę sobie tak powiedzieć, skoro mówi się nagminnie: chłopo-robotnicy. Tak, „literato-dziennikarzem", który potrafi marudzić parę tygodni, zanim wyrazi słowem pisanym podziw dla j e d n e g o wybitnego spektaklu pobliskiego Teatru im. Osterwy. A tu Paryż — silva „spectaculorum". Poza tym łaskawy Czytelnik mej relacji podróżniczej dowiedział się już (p. nr 4 „Kameny"), że skutkiem dyskomfortu psychicznego, doznanego w rezultacie przeprowadzek z hotelu do hotelu, poświęciłam pierwsze cztery wieczory paryskie poznawanie filmów *S i E*. Lecz czemuż to pozostałych ośmiu wieczorów nie odsiedziałam — wszystkich bez wyjątku — na widowni różnorodnych teatrów?

Ba, nie takie to proste, jak by się wydawało.

Naturalnie towarzyszyło mi do Paryża trochę rekomendacji epistolarnych. Hasłem magicznym, które powinno było otworzyć przede mną sezam teatralny, był nader uprzejmy list Zygmunta Hübnera, sekretarza generalnego Polskiego Ośrodka Międzynarodowego Instytutu Teatralnego — do p. Paul-Louis Mignon, dyrektora *Centre Français du Théâtre*. Atoli p. Mignon bawił akurat poza Paryżem. Niemniej po miłej godzince kurtuazyjnej gawędy z panią Novy, znaną warszawskiemu Klubowi Krytyki Teatralnej z uprzedzającej grzeczności, stałam się posiadaczką karty polecającej *Centre'u*, będącej cennym załącznikiem do mej legitymacji członka ITI.

Trzeba dodać, że wspominany kilkakrotnie na łamach „Kameny" dyrektor Teatru Malakoff, wytrawny przyjaciel Teatru Osterwy p. Guy Kayat, ze swej strony, ofiarował mi już przy pierwszym spotkaniu pomoc w rezerwacji biletów. Ale zachciało mi się być Zosią-samosią. Otóż skutki mej pewności siebie okazały się fatalne.

Doba w dobę budziłam się punktualnie o drugiej w nocy, jakby zdzielona kijem po głowie. I koniec ze snem aż do rana. Na obszernym niczym spory prostokątny klomb francuskim łożu, które zmieściłoby w razie potrzeby cztery osoby, rozkładałam spory arkusz barwnego planu pt. *NOUVEAU PARIS MONUMENTAL — Itinéraire pratique de l'étranger dans Paris*; tuż w najbliższym sąsiedztwie znajdowało się miejsce przeznaczone dla planu métropolitaina (że użyję raz pełnej oficjalnej nazwy, dziś prawie wycofanej z obiegu praktycznego); dalej, tu i ówdzie, porozrzucane były wszelakie prospekty, przewodniki, karteluszki z drobnymi notatkami, które raz po raz dawały nura pod inne papierzyska, chwilowo mniej potrzebne. Lecz najważniejszym elementem tej komórki informacyjnej był wymieniony na wstępie *l'officiel spectacles*.

Nie rozstawałam się z nim, ma się rozumieć, również w godzinach dziennych. Był moim doradcą i... dręczycielem. Od niego bowiem zaczynała się męka układania projektu teatralnego z uwzględnieniem, obok tytułów — dat, godzin, odległości, nazw stacji docelowych metra, cen biletów. Poszczególne teatry miały różne dni wolne, różne godziny rezerwacji, ta *location* była też utrapieniem nie lada... W końcu, zabłąkana w dżungli tytułów, rameczek i rysuneczków *officiela*, niemal oślepiona jego nonparelem, posyłałam „projekt" do diabła, robiłam toaletę i szłam do mego „Petit St. Martin", gdzie właściciel witał mnie uśmiechem jak starego bywalca, tu bowiem wypijałam co rano i co wieczór filiżankę gorącego, pienistego, słodzonego mleka, zagryzając parą rogalików, słynnych w całym świecie francuskich *croissants*. Potem szło się na zakupy do piekarza i do położonego na rogu rue de Chabrol i Bd de Magenta — Marché de St. Quentin, istnego raju smakoszów, jakimi są w gruncie rzeczy wszyscy Francuzi, pozostali oni jedną z nielicznych dzisiaj nacji posiadających umiejętność kunsztownego zestawiania dań. Ileż innych woli, za przeproszeniem, pospolite obżeranie się.

Sądzę, że gdy jesteśmy przy temacie jedzenia, pora na informację o moim systemie odżywiania się w ramach budżetu 110-dolarowego. A więc powszednimi elementami owego systemu były: osławione croissanty, wyśmienity serek Camembert, banany, renomowana margaryna roślinna, pieczone kasztany (co dzień porcja dwufrankowa) plus mleko i świetna oranżada. W sumie koszt innych posiłków, komponowanych w sposób zgoła nietypowy dla Francji, wynosił około 9 frs (2 dolarów) dziennie. Szczęściem nie miałam wybujałego apetytu. Zaledwie cztery razy zdecydowałam się na skromne, „małomieszczańskie" *menu prix fixe* (11—14 franków, *le vin y compris*).

Jeśli wspomnę, że pokój kosztował mnie 4 i pół franka na dobę, *carnet* metra (10 przejazdów) 8 franków, bilet do kina 6—7, do teatru (zniżkowy) od 12 do 13, albowiem nie wszędzie wierzeje sezamu rozwierały się szeroko przy wywijaniu kartą polecającą; jeśli dodamy do tego wydatki na trochę widokówek po 55 centymów każda, na znaczki, na mnóstwo nieodzownych telefonów po 40 centymów, no to, moi mili, podsumowanie da saldo o nieco zatrważającym wyglądzie.

Ale od czegóż są dobrzy znajomi i przyjaciele, gościnni i uczynni, którzy podejmują człowieka obiadem, dowożą swoim samochodem...

Bez wątpienia, 110 dolarów na dwanaście dni turystycznych w Paryżu był to przydział dewizowy niewspółmierny z cenami paryskimi artykułów pierwszej potrzeby. Nie należy jednak stąd wnioskować, jak się nieraz praktykuje, że drożyzna nie daje się we znaki zasiedziałym paryżanom, ponieważ „odpowiednio zarabiają". Nie wszyscy, proszę interlokutora „ekonomisty"-wolontariusza, nie wszyscy. Polecam lekturę odpowiedzi na ankietę „L'Humanité-Dimanche" z października ub. r. Znakomita większość „ankietowanych" skarży się, iż spędza im sen z oczu myśl, czy zdołają związać koniec z końcem w swym budżecie miesięcznym. — Że niby „L'Humanité?" Że „tendencja"? — No, to macie: drugiego dnia mego pobytu w obskurnym hotelu „Liberty" odprowadził mnie kawałek ulicą sąsiad — robotnik. Klął w żywy kamień wymieniając kolejno poszczególne nazwiska swoich ministrów. Tak było w październiku a teraz przed paru dniami otrzymałam z Paryża list od przyjaciół-inteligentów (ze sfer pedagogicznych), w których prawdomówność nie ma powodu wątpić. Jeden z passusów listu brzmi po polsku dosłownie tak: *Nasza ekonomika znalazła się na fatalnej pochyłości, pieniądz dewaluuje się, bezrobocie wzrasta...* Zaiste świat dzisiejszy roi się od zaskakujących paradoksów.

Ale mówmy raczej o moim „planie teatralnym", on to przecie był głównym powodem opisywanej eskapady do urzekającej metropolii. Wprawdzie pobiadoliłam nieco opisując kłopoty związane z jego chybionym opracowaniem, nie demonizujmy jednak sprawy. Ostatecznie, po czterech filmach porno, widziałam cztery przedstawienia teatralne (*fifty — fifty!*), a każde z nich było interesujące z jakiegoś punktu widzenia. Dwa — zdecydowanie dobre: „Célébration" w wykonaniu awangardowego zespołu zawodowego Charbonnier-Kayat oraz „Port-Royal" Montherlanta w Comédie Française. I tak się złożyło, że właśnie te najlepsze spektakle nie kosztowały mnie ani grosza, bo na „Célébration", pokazywanej obecnie w sali Cité Universitaire Internationale, byłam gościem państwa Kayatów, a znowuż sekretariat Comédie Française honorował członkowską legitymację ITI, aczkolwiek legitymuje się tu różnymi kartami polecającymi — codziennie kilkudziesięciu krytyków z różnych stron świata.

„Théâtre 71"... lublinianie pamiętają, że dyr. Guy Kayat prawie dokładnie dwa lata temu opracował z zespołem Teatru im. J. Osterwy sztukę swojej żony Claire-Lise Charbonnier „Różowa róża". Zastanawiałam się wówczas w recenzji, dlaczego nie mogłam skoncentrować uwagi na spektaklu: sztuka jest napisana inteligentnie, reżyser zrobił z niej widowisko pełne inwencji, zdolny nasz zespół dał z siebie wszystko, a przecie... Jedną z zasadniczych przyczyn niepowodzenia „Różowej róży" widziałam w niefortunnym brzmieniu polskiej wersji sztuki. *Osobliwość tekstu Claire-Lise Charbonnier* — pisałam wtedy — *polega na tym, że jest on stylistycznym przekładańcem: autorka sparodiowała drętwą mowę urzędów oraz specjalistyczny język produkcyjno-handlowy. Dialog taki powinien pobudzać widza do śmiechu bezsensownym spiętrzeniem groteskowej terminologii. Skądinąd zaś pani Charbonnier operuje także soczystym paryskim argot, musującym jak świeże piwko.* Tymczasem tłumacz wyszedł, zdaje się, z założenia, iż należy spopularyzować treści „Różowej róży" dla polskiego widza. Rezultat — wysterylizowanie rzeczy z jej finezyjnego humoru.

Teraz, w Paryżu, miałam satysfakcję przekonania się o słuszności mej ówczesnej diagnozy. Spektakl „Célébration", oparty na scenariuszu trzech autorów (m. in. C.-L. Charbonnier), wykorzystujący też utwory Baudelaire'a, Bérangera, Théophila Gauthier, Victora Hugo, Proudhona, George Sand i parodyjny melodramat XIX-wieczny „Dwie sierotki", jest doskonale inscenizowaną i wyreżyserowaną przez Kayata satyrą współczesną ze zręcznym odniesieniem do procederów klas panujących okresu II Cesarstwa. Gra zawodowych aktorów, specjalnie dobranych do sztuki (według rozpowszechnionego we Francji zwyczaju), jest pełna werwy.

Przeanalizowanie roboty reżyserskiej Kayata w „Célébration", jak również innych spektakli widzianych przeze mnie w Paryżu tudzież wyciągnięcie jakichś paru wniosków dotyczących paryskiego życia teatralnego, wymagałoby osobnego „rozdziału".

SZOFERACY

Dokończenie ze str. 3

się bez wypadków, nawet śmiertelnych. Z lekkim drżeniem siadali do samochodów prowadzonych przez najnowszych szoferów nawet zahartowani w bojach oficerowie. Bój, to ich żywioł, wiedzieli, jak postąpić. Tu zaś — wielka niewiadoma, pogłębiana rezolutną odpowiedzią na pytanie:

— Dawno jeździcie?

— O, już dawno. Prawie dwa tygodnie...

Można d z i ś biadać, że żółtodziobom powierzano życie ludzkie i sprzęt. Jakie jednak było i n n e wyjście, gdy już nie koń miał wyznaczać tempo natarcia, tempo — kończenia wojny. Były to swego rodzaju t a k ż e koszty wojny.

Zrozumiałe, iż w tej sytuacji, gdy ludzie decydowali o wielkości stosowanej techniki, a chciało się przecież najpełniej ją użyć w nowo formowanych dywizjach — jednostki frontowe były całkowicie zdane na swoją przemyślność.

Ha, szkolono w dywizjach nie tylko podoficerów, ale i oficerów, przygotowywano strzelców wyborowych i artylerzystów, chemików i sanitariuszy, mogą więc być i szoferzy. Tu jednak, we frontowych dywizjach, zadowalano się znacznie mniejszym werbunkiem kandydatów. Niepotrzebne były setki kandydatów, wystarczały dziesiątki.

4 marca (tego dnia zdobyliśmy Kluczewo, miejscowość leżącą kilkanaście kilometrów na północ od Czaplinka, na kołobrzeskiej osi marszu i natarcia) dowódcy pułków 3 dywizji otrzymują rozkaz o skierowaniu „na kursa szoferskie" (ślusarzy, kowali, techników itp.): 7 pp — 3, 8 pp — 3, 9 pp — 3, 3 pal — 5 i... pluton orkiestry — 1.

Dowódca dywizji poleca, by najszybciej ich wyszkolić na szoferów i skierować do pułków.

Na znacznie większą skalę odbywa się szkolenie szoferów wkrótce po wojnie.

W pierwszej dywizji, rozkazem z dnia 19 lipca 1945 zorganizowano dwa kursy: jeden przy kompanii samochodowej, dwumiesięczny, dla 115 elewów, drugi zaś — przy 1 pułku artylerii lekkiej dla 100 elewów dobranych z tegoż pułku i 1 dywizjonu artylerii samobieżnej. Kandydaci — jak pisano w rozkazie, mają być zdrowi, wojskowo wyszkoleni, w wieku 22 lat i młodsi. Początek zajęć — w dniu 30 lipca 1945.

Można domniemywać, że nie była to dywizyjna inicjatywa, lecz akcja ogólnowojskowa (na demobilizację czekały starsze roczniki, no i trzeba było zwrócić „wypożyczonych" z Armii Radzieckiej szoferów), gdyż w dokumentach macierzystej 3 dywizji znajduję podobny rozkaz z dnia 2 sierpnia. Kurs dla 180 żołnierzy — po 60 z każdego pułku piechoty — organizowano także przy kompanii samochodowej. Roczniki 1923—24. Czas trwania kursu od 6 sierpnia do 6 listopada. A więc już nie dwa—trzy tygodnie, lecz trzy miesiące, a więc okres, w którym — w wojsku — można zawodu nauczyć.

Nie zawsze udawało się tak rygorystycznie przestrzegać owej granicy wieku. Stanisław Skiers, dziś rolnik we wsi Nowe Witki pod Bartoszycami, był żołnierzem 7 kołobrzeskiego pułku piechoty, od stycznia 1945 roku, i z nim przebył bitewny szlak. W Lublinie, gdzie znalazł się pułk po zakończeniu wojny, Skiers otrzymał stopień kaprala i rychło skierowanie na ów kurs szoferski, mimo że formalnie nie mieścił się w zakreślonych granicach wiekiem, urodzony jest bowiem w roku 1922.

Kamena str. 6

PEDAGOGICZNE STARTY I FALSTARTY

Polonistka wśród piratów

Barbara Koś

ODWRACAM się do tablicy, aby zapisać jakieś trudniejsze słowo. Dotychczasowa cisza zmienia się w trudny do uchwycenia szmerek. — Co się stało? — pytam. Szmerek cichnie. Za chwilę dochodzi mnie wręcz chichot, przez który przebijają szepty: „Nie zasłaniaj, Heniu, bo ci oczy wyliżą!"

No tak — „normalka". Technikum. Czterdzieści osób, chłop w chłopa. Pracujący i znający tzw. życie. I tym dwudziestoletnim oraz starszym uczniom mam wpajać piękno literatury ojczystej. Co prawda uczniów bardziej interesuje długość spódnicy pani profesorki, niż wiedza o Kartezjuszu, który w dodatku powiedział takie śmieszne słowa: „dubito ergo sum".

— Ale świnia z tego Kartezjusza, prawda, pani profesorko?

Pani profesorka, jakkolwiek sama zwątpiła już dawno w możliwość dotarcia do szarych komórek tych rycerzy, zbrojnych w granitowe przyłbice, nie załamuje się i krzewi kulturę humanistyczną dla potrzeb polskiego przemysłu ciężkiego (szkoła przyzakładowa). Ale może nie jest tak źle? Czasami coś przez te przyłbice dociera.

— Locke — głoszę z katedry — powiedział, że człowiek rodzi się jako tabula rasa. Tabula rasa — zapisuję — to znaczy „czysta karta", a więc — rozumiecie, no, takie kompletne zero...

— Ooo! — słyszę krzyk radości. — My już to wiemy!

— Tak? To może mówię niepotrzebnie?

— Pan profesor od historii nas tak nazwał! — informują mnie uradowani.

Kto to się skarżył, że brak jest należytej korelacji między poszczególnymi przedmiotami w szkole średniej?

Nauczyciel płci żeńskiej musi być także przygotowany na nieoczekiwane skojarzenia umysłów płci odmiennej. „O zachowaniu się przy stole" — tłumaczę klasie — kończy się modlitwą, bo w średniowieczu i długo jeszcze potem przestrzegano tej formy.

— Tak, tak — kiwa głową klasowy Mędrzec. — „Zdrowaś Maria... Ucieszona zainteresowaniem chcę dalej ciągnąć wywód. — ... to się kładź" — kończy Mędrzec swą wypowiedź. — To Sztaudynger, pani profesorko. Zna pani?

Przez dobrą chwilę pozostaję z otwartymi ustami, nie mogąc nawet ich zamknąć. Słyszę tylko jeden ryk radości i widzę czterdzieści par oczu wlepionych we mnie i moją, aż za widoczną, konfuzję...

Jestem nauczycielskim beanem co się zowie, dlatego tak przeżywam rzeczy, nad którymi stare wygi nauczycielskie już przeszły do porządku. W rzeczach tych bardzo pomagają nam tzw. publikatory. Ostatnio w szkole zasadniczej przyszedł był do mnie ojciec jednego z chłopiąt, „przodujących" zresztą, wzywany uprzednio trzy razy. Tłumaczyłam przez dwadzieścia minut, żeby wziął się ostro za synalka, który na okres miał sześć dwój i do szkoły chodzi już nie tyle w kratkę, co w sześcian. Ojciec wysłuchał, przysiągł poprawę. Skandal wybuchł nazajutrz, kiedy przyszła matka chłopca. Okazało się, że ojciec był f a ł s z y w y! (Film w TV).

— Co ty się tak dziwisz — tłumaczy mi kolega — mało to „ojców" pod budkami z piwem stoi? Za pięćdziesiąt złotych każdy przyzna się do synka. Cała dzielnica, w której znajduje się nasza szkoła, może kolejno przychodzić.

Nie słucham dalej, bo zanosi się na gorsze uwagi życiowe, których jednakowoż mnie, dobrze ułożonej, słuchać nie wypada. Bo jak na złość, grono pedagogiczne jest w większości także męskie i to o dość niewyparzonych organach mowy.

— Ty wiesz — informują mnie radośnie koledzy — co twoi uczniowie robią i mówią za twoimi plecami, jak idziesz po korytarzu?

— Wcale nie jestem ciekawa, ale i tak zostaję powiadomiona i to z detalami...

— Muszę mieć wiersz na jutrzejszy apel — oznajmiam w pokoju nauczycielskim. — Już ci daję — woła z drugiego końca usłużny kolega — tylko posłuchaj. — Czując perwersyjną intencję proszę, aby mówił ciszej. Ale kolega dla większego efektu wchodzi nawet na krzesło i już deklamuje z patosem wcale zgrabny wierszyk, z wcale zgrabną, choć niecenzuralną, pointą. Nagle pod drzwiami słychać jakiś rumor i wchodzi kolega od WF-u.

— Co tu się dzieje? — pyta — Chyba ze dwie klasy stoją pod drzwiami i podsłuchują, rżąc ze śmiechu...

Każdy przedmiot w mojej szkole jest bardzo ważny. Ale najważniejsze jest WF. Szkoła posiada piękną halę sportową, którą opiekuje się mgr AWF. WF — to WF! Tylko ja obraziłam kiedyś śmiertelnie kolegę, dziwiąc się naiwnie, czemu to Gumieniak ma dwójkę z gimnastyki? Cóż on, fikołka nie umiał zrobić?

Słowem — usiłuję dzielnie trzymać fason wśród tych moich „piratów", myśląc z żalem o chwili, kiedy skończy mi się zastępstwo i będę musiała przejść do innej szkoły, kto wie, czy nie do żeńskiej... Strach mnie oblatuje — bo lepiej być już tą „Angeliką wśród piratów", niż piratem wśród, wątpliwych zresztą, aniołów...

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

ARS POETICA

I

A wierna ona jak rodzina
jak matki mojej święta spowiedź
z win sodomitów wymyślona
a bardziej prosta gdy kark zgina
z dróg polnych zgonów i narodzin
jeszcze jej nie ma a już mija
chorea zapóźnionych godzin
i czyjaś ona i niczyja
cierpiąca kiedy mnie urodzi
pewnego jak f-mol szopena
to ledwie muśnie szatą fiolet
wiosną zadzwoni w młyna skrzypcach
z cmentarnych letnich alkoholi
z galopu słów w strzemionach lipca
a lekką stopą goni chmury
i mroźną trawą albo głazem
w hiacynt się zmienia po raz wtó
usta stulone ma absyntem
i robotnicą jest z żołędzi
i prawosławne nad nią chóry

II

A rękę moją ona łowi
w gardło zgonione ciszę wlewa
rodzi się świtem a mrze nowiem
z twarzą umytą jak nadzieja
słocie urąga i wiatrowi
a trwała jest jak epopeja
pewna gdy sadem zazieleni
i hasa w tumie w mitów woni
zwiewność w niej tylko włosów powiew
w to miejsce nic
nic
tylko człowiek

III

A mnie pochyla w płodną bramę
lecz nim zabarwi już stwardnieje
ze słów pątniczych odpuszczona
nie obca jak powrósło lekkie
tu w kruchy jawi się ornament
skalpelem wiosny za pazuchą
jeszcze gołębna a już strunna
korałowłosa łza igliwia
korzenny pisze ją testament
a krzyk jej to bezlistny żniwiarz
co do fontanny wżenił ogień
bezdomną karczmą ladajaką
jawą gdzie między psem i bogiem
żebrak i światło w nim łagodne
na ziemskiej niwie śledź w oleju
wielkość blawatna jak kolęda
jej drobny dach za kwadrat słońca
drewniane stalle niewychodne
po ołtarz klamki nachylony
i prawosławne nad nią sowy

PEJZAŻ

Pannie Karolinie Natalii

To właśnie bowiem przedstawiają żywi
ten sopran niemy na wysokiej skale
i niepotrzebnych już muszli motyle
dyszących stajni odcedzoną skórę

To właśnie wiecznie podglądają żywi
źrenic trawiących niespokojny zegar
ramion wiatraka kołująca pamięć
schodzących niebem bose stopy w trawie

To nikłe światło bezlitosnej świecy
księżyc kroczący ponad ptakiem ślepym
dante jak satyr w kitlu obojętnym
królewskie twarze uśmiechniętych dzieci

No i, niestety, jeszcze i te Skiersa i innych jego kolegów umiejętności przydały się w warunkach bojowych. Natychmiast po ukończeniu kursu — trafił w Rzeszowskie, tam, gdzie pułk toczył walki z podziemiem UPA.

I tu już nie kursowo, nadal trzeba było się uczyć. Jak jechać, by wyjść z życiem, by uniknąć zasadzki lub minowej pułapki, a zadanie — wykonać.

Wszyscy, od dowódcy dywizji poczynając, musieli posiąść tu nauki najrozmaitsze. W rozkazie specjalnym Nr 080 z dnia 6 listopada 1945 roku dowódcy 3 Pomorskiej Dywizji Piechoty zawarto mały wykład na temat sposobu odprawiania samochodów do Lubaczowa. Tu właśnie stał sztab dywizji i dywizyjne kwatermistrzostwo, natomiast pułki rozlokowane były o kilkanaście, kilkadziesiąt kilometrów od powiatowego miasta.

Z nutą melancholii czytałem słowa rozkazu, że można wyjeżdżać najpóźniej o 9 rano, by koło południa zajechać do Lubaczowa. W razie niezdążenia na tę godzinę — wyjazd odłożyć do następnego dnia. „Wszelkie dobrowolne postoje po drodze są surowo zabronione".

Wydawano taki rozkaz po kilku zasadzkach i żołnierskich śmierciach.

Wspomina te nauki rozmaite, wynoszone z Rzeszowskiego, inny pułkowy kolega, dziś mieszkaniec Bydgoszczy, Stefan Tracz, także — szofer.

Oto jechali cysterną w kierunku Lubaczowa. Nawet nie przypuszczali, że droga może być zaminowana. Front skończył się kilka miesięcy temu. Nagły huk uświadomił im, że jeszcze nie pora myśleć o pokojowym jeżdżeniu. Mina rozerwała przednie koło, na szczęście nie uczyniła większych strat.

Nie było rady — wzięli cysternę na hol i tak dojechali na miejsce.

Innym razem, gdy Tracz jechał z Bełżca do Lubaczowa, zajechała mu drogę furmanka z sianem. Na samochodzie była amunicja, nie wolno dopuścić, by nie dojechała do pułku. Nie myśląc wiele — Tracz uderzył samochodem w furmankę, wywrócił ją. Jej pasażerowie uciekli w las. Z siana posypały się granaty i broń. Na szczęście w pobliskim Cieszanowie stacjonował jeden z batalionów pułku, którego patrole zapuszczały się daleko poza miejscowość. Jeden z takich właśnie nadchodził. Ostrzelał uciekinierów, szofer mógł — z westchnieniem ulgi — spokojnie dokończyć jazdy.

Nie tylko, nie tylko więc na kursach musieli się uczyć szoferzy. I ani przez chwilę nie mogli zapominać o fakcie, że są także, czy może przede wszystkim — żołnierzami i nie wystarcza „zwyczajne" szoferskie myślenie, jeszcze musi być ów dodatkowy element: spoglądanie na sytuację oczyma wojska.

Znacznie wcześniej stosowano, już nie tak militarne, ale także różnorodne formy nauki, dokształcania.

Zdawano sobie zapewne dobrze sprawę, że na kilkutygodniowym kursie nie można wszystkiego dobrze nauczyć. Przeciwnie, ograniczano się na nim do podstawowego minimum, reszty uczyć będzie życie, praktyka, jeśli tylko masz oczy i uszy dobrze otwarte.

Organizowano więc — jeszcze wiosną i latem 1944 roku, na Wołyniu — konferencje techniczne, na których zastanawiano się, jak dokonywać różnych usprawnień, ale także — jak oszczędzać paliwo i najlepiej eksploatować maszyny. Potem wyniki tej konferencji omawiano w prasie wojskowej, publikując zarazem nazwiska najlepszych kierowców, właśnie — oszczędzających paliwo, przedłużających okres międzyremontowy samochodów.

Wspomniałem wcześniej, że studebacker w okresie początkowym nastręczał niemałych kłopotów nawet i tym, którzy jeździli dotychczas gazikami czy zisami.

Podejmował się tedy z konieczności wydział samochodowy armii roli oświatowej. Oto znajduję instrukcję jak zrobić „ruchomą sztorkę do chłodnicy samochodu". Sztorka — to po prostu żaluzja.

To znów inna instrukcja mówiła o oszczędzaniu silników zagranicznych, kładąc szczególny akcent na umiejętności właściwego ich rozgrzewania.

Zjawiają się także bardzo szczegółowe instrukcje przed zimową, a potem przed letnią eksploatacją wozów.

Nie wiem, oczywiście, ile z tych dobrych, pisanych na ogół jasnym i zrozumiałym językiem rad docierało do samych szoferów, ile zaś utykało na szczeblu pośrednim gdzieś w pułku, batalionie czy kompanii.

Sytuacja była znacznie korzystniejsza w tych jednostkach, którymi np. dowodzili inżynierowie, znakomicie znający swój fach. Inżynierem był dowódca 1 pułku samochodowego, płk Emilian Chriapin, inżynierem był również por. Kazimierz Underko dowódca 1 kompanii samochodowej, kilku inżynierów — to zrozumiałe — było w wydziale samochodowym armii. Oprócz wiedzy mieli oni tak potrzebną kulturę techniczną.

A jej nauczyć, o, to było zadanie stokroć trudniejsze, niż wypuścić po kursie szofera!

Powiedzmy jednak bardzo wyraźnie, że wraz z zakończeniem wojny — zaczęto kłaść kres liberalnym metodom pasowania na szofera...

Alojzy Sroga

(Fragment książki „Szoferacy" przygotowywanej dla Wydawnictwa MON).

Czesław Twardzik

ODA DO EWY

O, ty – jakimkolwiek nazwę cię imieniem,
Nimfą jesteś przy kości czy chodzącym cieniem,
Kuleczką czarującą, czy ty, co strzeliście
Za lancę służyć mogłabyś kawalerzyście,
Ty, co w ósmym dniu marca obchodzisz swe święto,
Kiedy wiosna już blisko i przeniką miętą,
Kiedy głusząc na dachach natrętny miauk koci,
Ród męski trubadurzy ci i wajdeloci,
Ty – czy jesteś dziewicą (a psik! – słuchać hadko...),
Narzeczoną, rozwódką, wdową, czy mężatką,
Szukam nazwy, lecz przecież nie powiem: laleczko,
Która pusta jest wewnątrz lub wypchana sieczką,
I nie powiem: ptaszyno, bo znamy ród ptaków,
Wśród których nie brak różnych sępów i szulaków,
Nie nazwę cię też „rybką" – termin niezbyt mądry,
Bo do ryb wszak należą rekiny i flądry.
Żadnym sfinksem, syreną – brr! – to trąci hydrą;
Żadnym kotkiem, lasiczką, bo o krok i – wydra!
Nie będę ci wymawiał, że jesteś mym skarbem
(Za który potem płacę całe życie garbem).
Nie. Ja do tych wykwitów słowa się nie nagnę.
A prościej i serdeczniej określić cię pragnę.
Bo wszystko, cam wymienił to jeszcze jest nie to,
Imię twoje piękniejsze: ty jesteś KOBIETĄ.
Tu trzeba by przyklęknąć (pal sześć świeże kanty).
Ale tuszę, że jesteś tym praktykom anty.
Stoję tedy z mą lutnią, jak ten na weselu
Jankiel, co pośród innych cymbalistów wielu
Umiłowanej Zosi grą pomnażał radość.
I ja gwoli tej pragnę uczynić ci zadość.
Wy twory doskonalsze od róż słodkozłotych,
Wy, którym zawdzięczamy to ciepło (te poty!),
Te zdroje zapomnienia (te guzy pamiątek),
Skąd spływa w serce słodycz (a na głowę wrzątek),
Wy siostry wenusowe, wy Niki, wy Niaby,
Wy Saskie, Beatrycze, muzy naszej doby,
Wy, Laury, Lizystraty, Ledy, cne westalki,
Toski i Pompadurki, Aldy, Butterflajki,
Wy wdzięczne konduktorki, krewkie traktorzystki,
Piastunki, sekretarki, studentki, planistki,
Wy, współczesne anioły, których prototypy
Wymieniłem tu właśnie (prócz jednej: Ksantypy).
Zaiste wymarzona to dla mnie jest chwila,
Gdy stary, szorstki szerszeń, dziś na kształt motyla
Wśród tylu barwnych kwiatów przebywa jak we śnie,
Dotyka wonnych płatków i wzdycha (obleś...) boleśnie.
Ale przebóg! Ja nudzę mowa nieudolną,
Potykam się i mylę. (Lepiej było golnąć
dla wygładzenia stylu lub potok słów wartki
Odczytać, jak to czynią dostojnicy – z kartki).
Lecz może jakoś zdołam, mimo przejęzyczeń,
Z serca mego jak z wosku ulepić treść życzeń
I złożyć na twych dłoniach dary Adonisa
(Wolałabyś już chyba błękitnego lisa).
Wszystkie skarby Krezusa niosę ci na tarczy
(Trzeba by chociaż kawę... – dotyka kieszeni – Czy aby wystarczy?)
Chciałbym wszystko, ach, wszystko z mej głowy i łona
Złożyć na twoje barki (nawet bez welona...).
Pragnę, mierząc twe siły na moje zamiary,
Nosić ciebie na rękach (a ty me ciężary).
Gotów jestem dla ciebie w heroicznym czynie
Jeszcze dziś po kolacji pozmywać naczynie.
O, bo wreszcie nastała ta szczęśliwa era,
Kiedy z tronu Zeusa gromowładna Hera
Błogosławi śmiertelnym, gdy prawnuk rycerza
Fortuszek niby pancerz do piersi przymierza
I z okrzykiem „za wolność!" rzuca się w wir walki
Między miski, pieluchy, trzepaczki i pralki.
A westalka ogniska, jako Vice Versa,
Przyjdzie, chrząknie, oceni, w torebce pogmersa
I nagrodą jak laurem darzy płeć szczęśliwą:
„Jesteś wolny. Do piątej. Masz dychę na piwo".
A płeć udawszy Greka, wzruszona tym wianem,
Daje nura, by wrócić o piątej. Nad ranem.
Dzięki ci wielkoduszna, za łaski, miraże,
Za te wszystkie rozkosze, których nie wyrażę,
O czym mógłbym bez końca i a piat' s naczała,
Ale sławię twą chwałę, a może wyjść chała.
Więc zakończę tę odę, bo choć do u(ó)d skory,
Czuję chaos już w sercu i klapią zawory
Szarpane wzruszeń burzą i myśli natłokiem
(Niektórym te wzruszenia wylazły już bokiem...)
Wdzięcznym cię tedy sercem, pani, obdarzamy,
Bo nad nie przystojniejszej ofiary... Nie. Mamy!
To... pierwszy delikates w rajskim CDT-cie,
Którym cię wąż – podrywacz... Dalej sami wiecie.
Przyjmij dziś ty ode mnie to cudowne jabłko,
Ewo, wnuczko pra-Ewy, słodka nasza „babko",
Ewo tkliwa, cnotliwa, Ewo wciąż ta sama,
Żyj słońcem (wskazuje siebie),
bądź szczęśliwa (gest kołysania)
i kochaj Adama.

(schodzi ze sceny i oddaje jabłko którejś z pań)

MECEN
ZORRO

BUDOWANIE amfiteatru letniego w Zamościu ciągnie się blisko pięć lat. W tym czasie można by postawić pałac kultury i hotel „Forum", a amfiteatr zamojski nadal w proszku i tylko przy nadziei, iż w pierwszym etapie robót zostanie ukończony na święto lipcowe. Wokół tego obiektu, rozpoczętego w czynie społecznym na 25-lecie PRL, narosło już w Zamościu sporo kwasów, pretensji słusznych i niesłusznych, wieści prawdziwych nieprawdziwych.

— Swego czasu bardzo się interesował Zamościem profesor Zin, witany u nas transparentami w poprzek ulicy. I on ten amfiteatr zaprojektował, a władze miejskie parły do rozpoczęcia budowy, i to bez należytej konsultacji z miejscowym społeczeństwem.

— Po co ten amfiteatr, skoro są potrzeby znacznie pilniejsze? Żłobków brak, szpital ciasny i w rozsypce. Żłobek, kosztujący tyle samo, co amfiteatr, też można by w czynie budować sposobem gospodarczym. Zresztą amfiteatr zaprojektowano za wielki, na pięć tysięcy osób. Żeby on na siebie zarobił, bo to i konserwacji wymaga, sprzątania, dozoru, musiałby być wykorzystywany sto dni w roku. A u nas nawet jak cyrk przyjedzie, to po dwu dniach jest pusty. W końcu amfiteatr stanie się schroniskiem dla pijaczków: wódka zdrożała, będzie gdzie taniej wypić.

— Lokalizacja obiektu bezsensowna. Z jednej strony ZOO i zwierzęta kwiczą. Z drugiej strony dworzec PKS i autobusy warczą. Z trzeciej strony nowe osiedle i ludzie chcą spokojnie mieszkać. A w środku amfiteatr i powinny tu się odbywać głośne imprezy artystyczne. W pobliżu posadzono tuje, drzewa cmentarne. Wszystko tu się ze wszystkim nie zgadza. A była dobra lokalizacja w parku miejskim. Przy wykorzystaniu naturalnych warunków terenowych obiekt wypadłby znacznie taniej. Dlaczego nie skorzystano z tej lokalizacji?

Dowiedziawszy się, co ludzie o sprawie myślą, idę zwiedzać amfiteatr, a raczej jego nieśmiałe zalążki. Brodząc w błotku, przekraczam zwalone ogrodzenie druciane. Plac, a w placu dziura, czyli potężny wykop, który już zdążył porosnąć trawą. Wykop, a w wykopie bajorko, w którym niebawem zaczną kumkać żaby. Jakiś zarys wykopów ziemnych pod schody. Więcej już z tej strony nie zobaczę, bo i tak ledwo wyciągam trzewiki z gęstej mazi. Toteż zachodzę z innej strony. Boczkiem jakoś dojść można. Drewniany baraczek, a w baraczku człowiek z Rejonowego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego, które teraz jakieś roboty wokół amfiteatru prowadzi. Podobno prowadzi, aczkolwiek przy rozpoczętym oszalowaniu drewnianym ani żywej duszy. Dowiaduję się natomiast, że powołano dyrektora budowy amfiteatru przy Miejskim Zarządzie Dróg Mostów i Zieleni. Dyrektora nie spotkałem ani w zarządzie, ani na budowie. Natomiast cieśle, którzy w liczbie sześciu rzekomo pracują przy oszalowaniu, poszli do przedsiębiorstwa coś załatwić — jak informuje człowiek z baraczku. Ale normalnie to pracują, a do końca kwietnia przedsiębiorstwo ma zrobić taras z kwietnikiem, może POM ławki zrobi...

Tak sobie gwarzymy leniwie. Na betonowym masywie ktoś wymalował czarną farbą czy smołą napis: „24 V 72 Mecenas Zorro". Może w tym się wyraża przekonanie, iż tylko dzielność i nadprzyrodzone niemal moce romantycznego bohatera potrafią taką inwestycję do końca doprowadzić? Ale po co szukać tak daleko, mamy przecież rodzimego gieroja, pułkownika Dowgirda, który wszystko może!

Dla zweryfikowania informacji o amfiteatrze udaję się do naczelnika Urzędu Miejskiego w Zamościu, Eugeniusza Garbca. W ratuszu, gdzie urzęduje naczelnik, kręci się już inny dziennikarz, który chciałby rozmawiać o renowacji. O święta renowacjo zespołu zabytkowego w Zamościu! Nie jest dobrze. Przedstawicieli mojego zawodu za bardzo nie kochają w Zamościu, a tu dwu na raz i każdy z nie najprzyjemniejszą sprawą. Toteż z naczelnikiem początkowo rozmawiam o najważniejszych potrzebach miasta. Jest tego sporo. Na przykład rozbudowa urządzeń komunalnych: ujęcia wody, oczyszczalnie ścieków, w ogóle kanalizacja. Na przykład baza służby zdrowia: szpital, przychodnie. Na przykład żłobki, przedszkola. Naczelnik wylicza, co już się robi, co robić się będzie. Ale to temat odrębny.

— W ZOO lew siedzi na wielbłądzie między garbami — powiadam, myśląc sobie: „ciepło, ciepło..."

— ZOO będziemy przenosić, tak samo w perspektywie dworzec PKS.

— Czyli wokół przyszłego amfiteatru trochę spokojniej się zrobi, ale czy nie lepsza była lokalizacja w parku miejskim?

— Pan po to przyjechał? Myśmy tę inwestycję przejęli po poprzednich władzach i teraz trzeba ją kończyć po prostu, a nie od początku dyskutować. Wiem, że lokalizacji amfiteatru w parku sprzeciwiły się instancje konserwatorskie i Politechnika Krakowska, której pracownik, dr Pawlicki, opracował projekt amfiteatru. Bano się, żeby dewastacji nie uległy umocnienia ziemne w parku.

— Czy obiekt nie będzie za ki jak na potrzeby Zamości

— Nie sądzę. Trzeba sko budowaniem tylko na dziś taką halę POSTiW, która w okazała się o cztery metry ka. Amfiteatr będzie liczył miejsc siedzących i 1 000 st Fakt, że inwestycja ciągnie się dzo długo, bo zainteresowani łeczeństwa było nikłe. Może wiście trochę nawalono z kon społeczną? Na 22 lipca zam skończyć pierwszy etap, b czyli sam amfiteatr, zagospo ny zielenią. Natomiast kub zaplecze sceniczne to kwest giego etapu. Obiektem będ opiekował Zakład Zieleni Mi Tak czy owak, skoro już rz stała rozpoczęta, liczymy na dek naszego społeczeństwa łeczną pomoc, gdyż będzie ta le robót, które można wyko czynie.

Naczelnik Garbiec jest więc mistą, a i ja zaczynam sądzić pomyślnego zakończenia spra trzeba może będzie sięgać tyczne moce szlachetnego Zo rycerskiego Dowgirda, wy miejscowi ludzie i miejscowe siębiorstwa. Powstaje jednak nie ogólniejsze, dlaczego mo istnieć takie sytuacje jak z skim amfiteatrem?

Na Lubelszczyźnie panowa małe mody inwestycyjne, ter my modę na amfiteatry, wz przede wszystkim jako inw czynowe. Generalnie nie wiam się amfiteatrom, cho ówdzie widzę potrzeby pil które także dałoby się załatw nami społecznymi. Spójrzmy gląd naszych miast i mias Gdzie te zieleńce, gdzie kana gdzie porządek wokół posesji pobielenie chat na szlaku Lub Kazimierz niewiele załatwia. powiadam — niech będą i teatry. Ma Krasnystaw duże to „Chmielaków", ma zatem fiteatr. Ma Kraśnik festiwal partyzanckiej, ma też amfiteat Kazimierz festiwal kapel i śp ków ludowych, ale nie ma teatru, i budowę takiej inwest

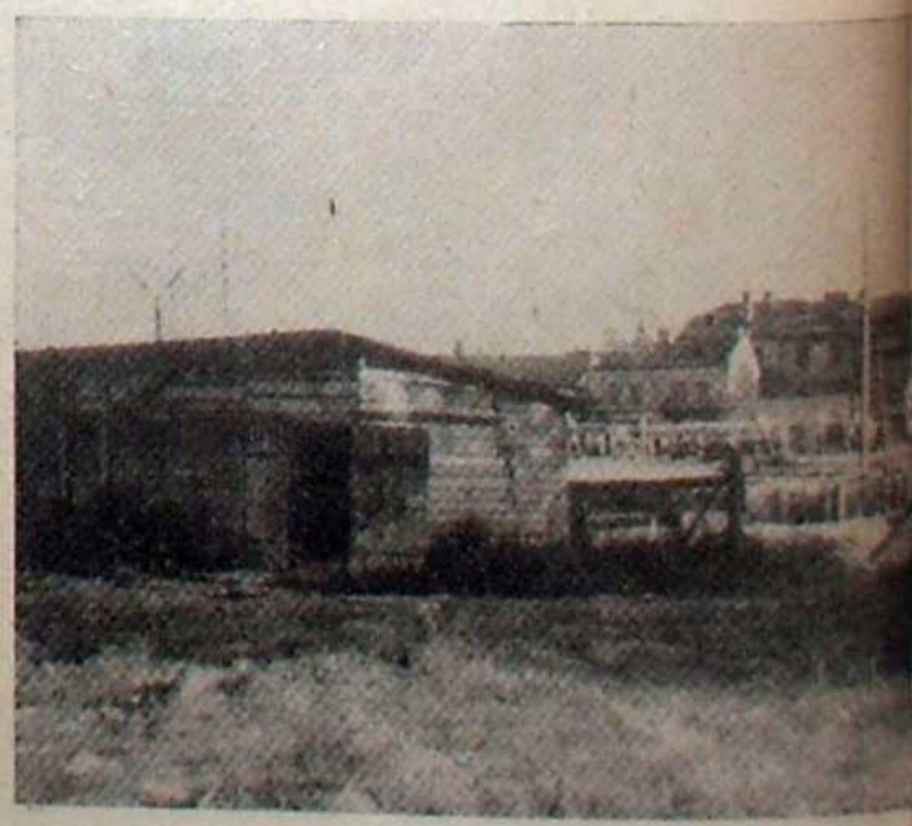

A S ?

Maciej Podgórski

Kazimierzu można by postulować, tylko jak skłonić miejscową zasiedziałą i starszawą społeczność do czynu (może werbować ludzi z Puław, choć oni tam już mają swój amfiteatr)?

Jeśli więc budować amfiteatry, to z ostrożnym rozważeniem, jak one się mieszczą w obrębie najpilniejszych potrzeb miast. No i nie może być tak, żeby teraz każde miasto powiatowe domagało się takiego obiektu, a następnie wymyślało dlań jakąś jednorazową doroczną imprezę kulturalną. Amfiteatry w ogóle nie mogą tylko raz do roku obliczać swojej użyteczności na okazjonalny użytek (Zamość nie ma nawet większej dorocznej imprezy, choć posiada orkiestrę Namysłowskiego, i o szerszym jej wykorzystaniu warto by podumać). Żeby te obiekty nie miały stać puste, trzeba je budować z myślą o wykorzystaniu na kina letnie (w Zamościu dopiero drugi etap budowy). Poza tym czy to muszą być tak wielkie obiekty i tak drogie jak w Zamościu, gdzie w sumie ostateczne koszta sięgają 6,5 miliona złotych (nie wszystkie z istniejących tyle kosztowały)? Im większe, tym trudniejsze do sezonowego zapełnienia na co dzień, a zarazem tym droższa konserwacja urządzeń stojących na „wolnym powietrzu", tym droższe sprzątanie i tak dalej.

Przeglądam „Program rozwoju kultury województwa lubelskiego 1973—1990", który — jak napisano we wstępie — posiada moc najogólniejszej kierunkowej wskazówki. Ani słowa w tym dokumencie, opracowanym przecież głównie z udziałem ludzi z pionu kultury, o amfiteatrach, na których utrzymanie — jak mnie poinformowano — resort kultury nie posiada zasadniczo środków, aczkolwiek przygarnął amfiteatr puławski. Może to znaczy, iż Wydział Kultury na szczeblu wojewódzkim niezbyt się interesuje i nie za bardzo chce uczestniczyć w programowaniu rozwoju czynowych obiektów użyteczności kulturalnej w województwie? Ale może to znaczy, iż władze lokalne, powiatowe i miejskie, patronujące takim obiektom, nie widzą potrzeby konsultowania z Wydziałem Kultury na szczeblu wojewódzkim tego rodzaju inwestycji? (O budowie zamojskiej dowiedział się Wydział Kultury ówczesnego PWRN dopiero z listu jakiegoś rozżalonego a ambitnego obywatela miasta Zamościa, kiedy właściwie było już za późno, żeby cokolwiek zmieniać). Idzie w końcu — powiadam — o obiekty użyteczności kulturalnej, przy których budowie konieczna jest po prostu ogólnowojewódzka koordynacja poczynań, zarówno w sensie wyboru samego charakteru inwestycji, lokalizacji obiektu jak i jego rozmiaru. Wpierw program budowy inwestycji z uzasadnieniem potrzeby, a potem akceptacja Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego. Inaczej mamy do czynienia z partyzantką jeśli nawet nie inwestycyjną, to w każdym razie kulturalną w skali województwa.

Efekt taki, że gdzie potrzeba amfiteatru (Kazimierz), tam go brak, a gdzie jest, czy niebawem ma być (Zamość), tam mógłby powstać później. W tym kontekście są do spokojnego ostudzenia ambicje Parczewa, gdzie PDK się spalił, i Hrubieszowa, gdzie PDK właściwie brak, a które to miasta chciałyby mieć na razie amfiteatry. Te obiekty na „wolnym powietrzu" w żadnym przypadku nie zastąpią powiatowych domów kultury, inwestycji limitowanych i leżących co najmniej w gestii władz wojewódzkich. Może by więc w oczekiwaniu na domy kultury w tych miastach organizować ambicje społeczne i środki na potrzeby pilniejsze niż amfiteatry? Inwestycje czynowe bowiem to nie łatanie jakichś dziur tymczasowych, lecz odpowiedź na autentyczne konieczności określonego terenu, determinowane potrzebami najpilniejszymi określonych mieszkańców. A kultura przecież rozpoczyna się nie od oglądania raz do roku okazjonalnych festiwali, lecz od porządku wokół własnego domostwa, od skanalizowania domu i czystości, przygody zaś szlachetnego pułkownika Dowgirda można i tak oglądać w TV, pod warunkiem, że mamy chałupę zelektryfikowaną.

Mówiąc o sprawie budowy amfiteatrów, od pewnego czasu łapię się na tym, że opowiadam o kwestii ogólniejszej i kto wie, czy nie najważniejszej, jeśli traktować amfiteatry jako inwestycje czynowe, którymi one są w większości. Przykład Zamościa w tym względzie każe przemyśleć poczynania już bardzo bliskie, jeśli nie po prostu stające się.

W roku 30-lecia PRL posiadamy szczególną możliwość skanalizowania niejako pozazawodowej aktywności ludzkiej, rozpisania ludzkich potrzeb w czyn społeczny. Przystąpienie do tego czynu właśnie dziś to nie tylko określone efekty społeczno-ekonomiczne, choć i one ważne, ale również, a może przede wszystkim, polityczna akceptacja tego, co w naszym kraju nie bez kłopotów dokonało się i dokonuje ciągle, choćby dlatego że ludzie w nim żyją, pracują i konsumują, ale nie tylko dlatego...

Patos patosem, ale ja tu nawołuję do rozsądnego gospodarowania potencjałem społecznych pomysłów i chęci, jaki się w tym roku szczególnie rodzi. Mamy wyczerpującą uchwałę Rady Ministrów (z 13 września 1966 roku) w sprawie czynów społecznych oraz pomocy państwa w ich organizowaniu i realizacji. I powinniśmy się uważnie jej trzymać, co — jak dotąd — nie zawsze wychodziło. W tym to dokumencie mówi się o „gospodarczej celowości oraz dostosowaniu rozmiarów zamierzonej budowy (czynowej) do właściwych potrzeb danego terenu", czyli — innymi słowy — mówi się również o konieczności konsultacji z miejscowym społeczeństwem zamierzeń organów inspirujących czyny. Żeby nie uszczęśliwiać na siłę i za wszelką cenę ludzi, którzy potem niechętnie pracują, a inwestycja ciągnie się latami. I dalej w związku z tym: „Nie należy dopuszczać do podejmowania i realizacji w czynie społecznym przedsięwzięć inwestycyjnych, których koszty przekraczają możliwości zakumulowania przez zainteresowanych środków własnych w wysokości uzasadniającej udzielenie pomocy ze środków budżetowych lub z innych źródeł". Żeby potem nie kokietować czy szantażować rozpoczętą inwestycją czynową, jak to ongiś miało miejsce w przypadku szpitala powiatowego w Kraśniku. Ustawa określa też, jaka musi być koncentracja środków i możliwości społecznych, żeby w ogóle rozpocząć inwestycję czynową. I tak dalej, i tak dalej.

Wydaje się, że nie zawsze i wszędzie przy realizacji czynów trzeba mierzyć w odrębne i duże inwestycje. Ludzie chętniej pracują przy robotach bezpośrednio, lokalnie ich dotyczących. Mam tu na myśli upowszechnienie czystości, porządku i ładu w miejscach zamieszkania i pracy, a także wszelkie prace remontowe i konserwacyjne, szczególnie obiektów już przedtem wzniesionych w czynie, ukończenie inwestycji czynowych rozpoczętych poprzednio, poprawę stanu sanitarnego miast i wiosek, zabezpieczenie przeciwpożarowe choćby na drodze likwidacji słomianych strzech. W sumie — proponuję realistyczne spojrzenie na sprawę, choć w konsekwencji wcale to nie będzie mały realizm. Amfiteatry jednak zostawmy na deser!

Fot. M. Chałdzyński

Dokończenie ze str. 1

zana. Jeśli, oczywiście, z góry założy się, że nie będzie to nie poparta konkretami, nosząca pozory autorytatywności nagonka na odmienny punkt widzenia. Dyskusja taka, rozwijająca się od kilku zaledwie lat na łamach całej naszej prasy, zdążyła już ustalić pewne kryteria, wysunąć wnioski, często niezbyt korzystne dla zagorzałych przeciwników włożenia jazzu w szufladkę pn. MUZYKA.

Wiadomo, że ukuty niegdyś termin „pokolenie głuchych" nie może pozbyć się swego desygnatu, chociaż tu i ówdzie daje się słyszeć głosy zaprzeczające ogólnemu zjawisku. Wyż demograficzny skończył już studia lub je teraz kończy, a najmłodsze, niezbyt liczne pokolenie nie potrafi wypełnić ławek we wszystkich szkołach. Szkoła muzyczna, a więc najczęściej tzw. druga szkoła, gdzie przychodzi się wieczorem, musi znaleźć autentycznie zainteresowanych, gdyż w przeciwnym wypadku... przestanie istnieć. Tacy uczniowie to jedna część; druga natomiast — i to dosyć liczna— składa się z młodzieży, która spełniając dawne tęsknoty swoich rodziców, na lekcje muzyki musi chodzić z powodów ambicjonalnych. Tylko, że są to ambicje tatusia i mamusi. Pomińmy tę grupę, albowiem rzadko zdarza się, by takie właśnie dziecko po długich latach nauki nauczyło się czegoś więcej poza poprawnym czytaniem nut. I o tym doskonale wiedzą nauczyciele muzyki.

Ale chodzi o grupę pierwszą, tę bardziej autentyczną. Prawdą jest, i to również potwierdzają nauczyciele, że spora gromada młodzieży już po pierwszych latach uczenia się muzyki wykazuje duże zniechęcenie. Zniechęcenie do ćwiczenia wprawek, do nauczycieli i wreszcie — co najgorsze — do muzyki w ogóle. Nie mam, oczywiście, zamiaru (byłoby to śmieszne) namawiać do likwidowania wielogodzinnych ćwiczeń, chociaż tak często rozumiane są moje postulaty. Problem tkwi w tym, aby uczeń widział, aby potrafił zrozumieć sens swojej nauki.

Każdy człowiek atakowany jest obecnie przez wielogodzinne produkcje muzyki rozrywkowej. To fakt i nic go nie zmieni. Nie można jednak stosować dyskryminacji wobec kogoś, kto w tej właśnie muzyce dostrzegł miejsce dla siebie. I tu właśnie

Otworzyć żelazne drzwi

rodzi się nieporozumienie. Poza małymi wyjątkami w wyższych szkołach muzycznych, we wszystkich innych placówkach tkwi głęboka pogarda dla rozrywki i dla jazzu, który mimo wielu wspólnych cech ze współczesną muzyką poważną — pozostaje najczystszą, klasyczną rozrywką.

Weźmy taki przykład. Rola gitary uległa radykalnej zmianie, technika gry również, niezmienny natomiast pozostał program gry na tym instrumencie. Wielu młodych, autentycznych (to ważne!) wielbicieli gitary, idzie do ogniska muzycznego, wkrótce zrywa z nim kontakt, albowiem więcej daje im nauka systemem „podwórkowym". Nie wymagajmy od tych dzieci, by myśląc perspektywicznie, widziały siebie w roli koncertujących na gitarze klasycznej wirtuozów. Pomyślmy natomiast, w jaki sposób należałoby te dzieci odebrać nauczycielom „podwórkowym" i drukowanym w gazetach prymkom z „chwytami" gitarowymi.

Ale na to mogliby się zdobyć tylko ci, którzy dostrzegli coś, co w tym innym systemie jest interesującego; którzy na czas dostrzegą moment, gdy chłopak chce rzucić ognisko muzyczne, aby pójść w „bigbity". A powód jest prosty: wszyscy wokół grają na gitarach ładne rzeczy, występują w telewizji, a ja ciągle gram etiudy i jakieś ćwiczenia...

Taki sposób myślenia jest wyraźnie naiwny. A przepraszam, z kim mamy do czynienia w ognisku muzycznym? Z Einsteinami? Konfliktu nie da się załatwić jednym zdaniem, negującym wszystko, co po drugiej stronie barykady. Miast walczyć z wiatrakiem, lepiej przecież poznać jego mechanizm, usprawnić go i zniszczyć przeciwnika jego własną bronią. Na to jednak potrzeba pobłażliwości i samokrytyki, a nie tuszowania walki z własną niewiedzą. Zwłaszcza, gdy to tuszowanie ma postać piany na ustach.

Tu właśnie wiele spraw załatwić może jazz bądź kierunki z nim spokrewnione. Dzisiaj, kiedy cały świat uznał tę muzykę, gdy najsłynniejsze szkoły świata zatrudniają najlepszych fachowców i otwierają wydziały jazzu, u nas trwają nonsensowne dyskusje, budowane są jeszcze nonsensowniejsze barykady. Przypominają się ciągle czasy, gdy Straussa wyganiano z kościoła, ponieważ próbował tam grać swoje walce.

Ale pozostaje jeszcze pytanie: kto ma uczyć w taki sposób? Przecież ci, którzy dzisiaj uczą, tak samo byli uczeni przed trzydziestu laty. Nie znając przedmiotu — nie można go uczyć. A wobec tego ci, którzy nowej muzyki nie znają, budują przed nią solidny mur. Nikt nie wymaga, by właśnie obecni nauczyciele „przestawiając się", poczęli uczyć swoich podopiecznych muzyki Armstronga. Jest tylko jedna mała prośba: by przestali przed tą muzyką zamykać żelazne drzwi.

Jacek Grün

Michail Berberow w tłumaczeniu Anny Kamieńskiej

* * *

Przejrzyj się tutaj w srebrnym lustrze!
W tym ciemnym srebrze — to przecież twój profil.
Poznajesz teraz? Spokojny
uśmiechnięty albo gniewny. Przypatrz się!
To nie kto inny, lecz ty sam: te same
włosy miękkie jak pomarańczowy obłok, ta sa-
skryta żądza w oczach, ten sam
orli nos, pod nim usta w półuśmiechu.
O ile wieków jesteś starszy! — A oto
znowu spotykasz siebie. I poznajesz.
Oczami — od srebrnego dna —
w sieci własnego wzroku — widzisz siebie
samego. Poznaj siebie. Teraz wiesz już
o ile wieków od dziś jesteś starszy.

...Ale dla innych — o, ci inni! — martwe
jest srebro. Martwy kawałek metalu,
odnaleziony gdzieś przy wykopkach z napisem
Wiek IV. Trackie cmentarzysko.

* * *

Powoli, tak, bardzo powoli, Otoczeni
tym, co kochamy, co nienawidzimy,
nie zapominając. Potem — cisza—
lekki powiew wiatru — i dreszcz ogarni.
I zacznie się stopniowo, stopniowo
odchodzenie. Wszystko miłe:
przedmioty, książki krajobrazy... O, to b
tylko farsa, w której grały
namiętności. A tyś w nie wierzył.

A teraz? Teraz ci pozostał tylko
jeden przejrzysty łyk powietrza.
Jesteś szczęśliwy, że nie wiesz,
który będzie ostatni. Oddychaj! Oddychaj...

* * *

...I bez metafor. Wiersz
niech będzie nagi jak ciało i szczery.
Bez lejców marzeń — ty idź dalej! —
bez płaczek-wspomnień. Bardziej ziemski,
bardziej śmiertelny. Prawdziwy. I dokładny
Dokładny! Nietrwale dokładny jak dzień,
co ma nadzieję, że zapadnie wieczór.

I choćbyś zaznał już wszystko, przyznaj,
wierzysz w coś jeszcze, bo się boisz.
Bo masz nadzieję obłędną — że jesteś wieczny.
Tymczasem nawet kałuże po deszczu
wyschły od wczoraj na twych oczach.

PRZECIEKI

Stanisław Harasimiuk

NIE ma silnych, interes jest interes. Na każdy przepis znajdzie się sposób — pod warunkiem, że się opłaca.

— Dyzio wie, co mówi — twierdzą jego kumple. Dyzio ma niebywały autorytet w środowisku Specjalista. Pionier na ziemiach zachodnich. A jeszcze potem robił forsę, grubą ponoć forsę na masowej produkcji medalików bitych z 1- i 2-groszówek, sporo zgarnął swego czasu na manipulacjach z miedzianym pięciogroszowym bilonem, obracał także przeciekającymi z FSC i WSK kolorowymi metalami, częściami, miał powiązania z ekspedientami lubelskich i stołecznych sklepów branżowych, prowadził interes rozległy i urozmaicony, pośredniczył w sprzedaży i kupnie samochodów, mieszkań, nieruchomości, znał na pamięć kursy wszystkich ważniejszych walut i koniunkturalną wartość kruszców. Zawsze działał na pograniczu legalności i przestępstwa. I miał szczęście: nigdy nie miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości.

Dyzio jest aktualnie kierowcą. Od miesiąca. Porzucił dotychczasową działalność z dwu powodów. Po pierwsze, kierowcom nieźle płacą. Po drugie — na wsi coraz więcej traktorów. Dyzio jeździ więc wielkim ciężarowym „jelczem", na którym, przy długich trasach i umiejętnym manipulowaniu licznikiem, można w tygodniu zaoszczędzić nawet 200 litrów oleju napędowego, a chłop z pocałowaniem w rękę zapłaci za to równego patyka, po piątce za litr. Można żyć, nie to co dawniej, kiedy oszczędności paliwowe trzeba było wylewać po prostu do rowu.

*

Okolice lubartowskiej rogatki. Ukryty w ogrodzie jednorodzinny domek. Zajeżdżają tam budowlane wywrotki, czasem taksówki, samochody osobowe. Kobieta płaci kierowcom po 4—5 zł za litr benzyny, sprzedaje po 7. Na olejach zysk jest jeszcze większy. Dostawcy są zaufani, dobrze znani kobiecie, lub muszą być rekomendowani przez wprowadzającego. Identyczne zasady obowiązują odbiorców, taksówkarzy i prywatnych posiadaczy samochodów. Ściśle przestrzegana jest zasada wjeżdżania na podwórze tylko jednego pojazdu, a i to z zachowaniem daleko posuniętych środków ostrożności: kierowca zatrzymuje się, otwiera maskę silnika, sprawdza coś przy nim i uważnie penetruje teren, dopiero upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, wjeżdża w podwórze, na pracującym silniku zostawia, szybko chowane w szopie, kanistry, bądź błyskawicznie, w ciągu minuty do półtorej, opróżnia zbiornik przy użyciu grubego gumowego węża o przekroju 5 i więcej cm (każdy szanujący się kierowca ma taki wąż pod siedzeniem swego wozu lub starannie ukryty w schowku za oparciem).

Przy ścisłym przestrzeganiu obowiązujących reguł wytropienie benzynowej meliny jest trudne; dla postronnych cały proceder jest niezauważalny.

*

Stacja benzynowa CPN. Wewnątrz facet w kombinezonie dzwoni uporczywie pod kilka numerów. Rozmowy te są krótkie, kilka lapidarnych zdań. Po kilkunastu minutach pod stację podjeżdżają niczym szczególnym na pierwszy rzut oka nie wyróżniające się samochody prywatne. Facet w kombinezonie tankuje w zbiorniki pod korek i napełnia wyjmowane z bagażników kanistry. Właściciele samochodów płacą dziwnie mało w stosunku do wskazań dystrybutora — po sześć złotych za litr benzyny tzw. niebieskiej i po siedem za żółtą. Odbywa się to wszystko bez zbędnych słów, z zachowaniem pozorów anonimowości, jak gdyby przed kilkunastoma minutami nie było tych pospiesznych rozmów telefonicznych.

Za dwie—trzy godziny pod stację podjeżdża dyrekcyjny samochód z którego wysiadają członkowie komisji, zarządzający doraźną inwentaryzację paliw. Komisja odjeżdża, przeważnie zadowolona, gdyż w bilansie wszystko gra, nadwyżki paliwowe z danego dnia zabrali wcześniej zaufani właściciele prywatnych samochodów.

Pan Andrzej przez kilka lat pracował na stacji CPN. Jeździ aktualnie nowym „fiatem" na teściową zapisanym, teściowa także jest oficjalnym właścicielem budowlanej parceli, na której stoi już willa w stanie surowym; na jej wykończenie teściowa ma zasobną książeczkę PKO. Ma prawo. Posiada krewnych w Kanadzie, stryjecznego brata-rencistę, który raz do roku przysyła do Polski paczkę ze starymi ciuchami z wyprzedaży. Ale to wie tylko teściowa i pan Andrzej, który umie myśleć. „Fiata" kupiła teściowa, za dolary, za dolce też nabyła materiały budowlane i działkę, za dolce kupowane w kraju za polskie złotówki, po 90 zł za każdy. Ale o tym wie tylko najbliższa rodzina i kumple.

Pan Andrzej nie pracuje już w CPN. Jego była stacja zaliczona została do prywatnych, tzn. sprzedających paliwo tylko pojazdom prywatnym.

— Żaden interes. Fakt, można przerzucić ze stacji państwowej nawet cysternę i w trymiga opchnąć. Termin można podpasować, ale to się nie kalkuluje, bo szoferakom trzeba ich dolę dać, cudów nie ma, a zysk do podziału na dwie stacje. Za duży ryzyk jak na taką forsę.

Pan Andrzej został kierowcą. Jeździ służbowym „fiatem". A po pracy — własnym. Wysokooktanowej benzyny wystarcza z powodzeniem dla dwu. Z oszczędności. Dławik w gaźniku państwowej maszyny działa niezawodnie. A że szlag trafi panewki jeszcze przed połową normatywnej żywotności silnika, to już kłopot warsztatu; przy okazji co nieco z części nowych da się przemontować do własnej bryki. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło.

*

Niewysoki gość w granatowej jesionce wciska się do kantorka z wypchaną teczką pod pachą. W teczce tuzin stacyjek, dwadzieścia świec zapłonowych, żarówki reflektorowe, dwa aparaty zapłonowe, bezpieczniki, inne drobiazgi. Udany przeciek z FSC. Licząc po cenach detalicznych, wartość skradzionych części i akcesoriów wynosi około 2500 zł. Gość w granatowej jesionce inkasuje jedną pięćsetkę i dwa banknoty stuzłotowe. Wychodzi z uśmiechem, z odprężoną twarzą: i tym razem się udało...

Mówi pan Andrzej:

Najbardziej chodliwe są akcesoria i elektryka. Kierowcy na ten przykład potrzebne dwie świece, to kupuje cztery. Rachunek dostaje na wszystkie, ale płaci tylko za trzy, a bierze faktycznie dwie. My te dwie pozostałe opychaliśmy po cztery dychy prywaciarzom i każdy coś z tego miał, no nie? A jeszcze lepiej jak trafił się taki lewus do handlu, co miał swoje zaopatrzenie w firmie, z PKS czy budownictwa na przykład. Od takiego brało się od razu dużo i za czwartą część ceny. I sprzedawało się na stacji detalicznie po sztuce, jak było świeżo po kontroli, a jak śmierdziało, brał człowiek brykę i do prywaciarza, znaczy do warsztatu hurtem puszczał, też prawie po detalu. Szło żyć, no nie?

*

Józek jest moim kolegą z powszechniaka. Skończył zawodówkę, pracował na Śląsku, w FSC, potem w stoczni, w Szczecinie. Od 8 lat jeździ. Najpierw woził prezesa rady zakładowej starą „warszawą", potem przesiadł się na „żuka", a od lat czterech zajeżdża już drugiego „ziła"-wywrotkę na lubelskich budowach. Rozwiedziony, płaci alimenty na dwoje dzieci. Nie stroni od kieliszka, a i do kobiet więcej niż przeciętnie ochotny. Po robocie elegancki facet, bywalec restauracji znany z szerokiego gestu.

— Masz garaż? — pyta Józek.

— Mam.

— To git. Tobie po starej znajomości będę dawał po cztery za litr. Taki jeden na budowę zajeżdża swoją „syrenką", pracuje tam, sprawa czysta. Przyleci tylko do garażu, klucz jeden mnie dasz, zabiera baniaki, a po robocie podrzuca ci pełne. Ja wieczorkiem melduje sie u ciebie, dajesz co sie należy i cacy. Sam święty Walenty nie dojdzie. Mogę tak na tydzień do dwustu litrów... Wiem, tobie tyle nie potrza, ale pewnie kumpli masz z wozami, im też mogę przez twój garaż towar zorganizować, tylko im już po piątaku, inaczej nie da rady.

— Tak, stary, ale po pierwsze nie mam kanistrów, po drugie, mam tylko jeden klucz, drugi żona zgubiła, a po trzecie ja jeżdżę na żółtej, a ty na niebieskiej.

— Nie ma sprawy. Baniaki trzy ci za trzy paki załatwiam. Nowe. Mam już takie na oku. Klucz dorobim. A ta twoja mydelniczka, no, przepraszam, „trabant", na niebieskiej też pójdzie, nie ma co rozpieszczać grata. Luksu trzy litry na tydzień dorzuce gratis.

Józek wyraźnie był rozczarowany odmową. Nie był w stanie jej zrozumieć. Tym bardziej, że sam tracił pewny a przy tym bezpieczny interes. Miał przedtem stałego odbiorcę z garażem, ale tamten sprzedał ostatnio i samochód i garaż, więc właśnie rozgląda się za czymś stosownym, mój garaż wybawiłby go z chwilowego kłopotu.

A kłopot polega na tym, że obecnie sprzedaż „wachy" na budowie jest bardzo ryzykowna. Uczestniczyłem w jednej takiej Józkowej transakcji. Kumpel z innym „ziłem" stanął przed rondem na Bieruta i w razie gdyby jechał ktoś z dyrekcji, albo radiowóz, miał trzy razy zapalić długie światła. W tym czasie Józek pilotował „warszawę" po rozjeżdżonej w roztopy drodze dojazdowej aż za wzniesienie, pod osłonę wysokiego nasypu, tam szybko, przy pomocy tej gumowej rury, napełnił ze swego zbiornika trzy kanistry, które znikły w bagażniku „warszawy", zainkasował 300 zł i, ciągle filując na reflektory kumpla przed rondem, odjechał ostro do bazy, aby się zatankować. Nazajutrz rano umówiony był z innym klientem.

Po drodze zwierzył mi się, że co jakiś czas musi dać odsyp majstrowi bo inaczej nie podpisałby w karcie lipnych kursów, no i cały czas czuwać musi nad licznikiem, bo kontrole teraz ostre, więc trzeba licznik kręcić za każdym razem, żeby wszystko grało, wacha i kilosy.

— Najgorzej jak kto raz podpadnie. Czepiają się wtedy o byle głupstwo. Ale jak kto ma czyste ręce, idzie żyć. Nie ma sprawy.

*

Przeprowadzam wśród znajomych prywatną, na poły żartobliwą, ankietę na temat zaopatrywania się w paliwo do ich samochodów. Uzyskuję 16 odpowiedzi. Od 16 właścicieli czterech kółek. Wśród nich jeden dziennikarz, aktor, sześciu urzędników różnych szczebli, dyrektor, trzech taksówkarzy, dwóch rzemieślników, robotnik i pani mecenas.

Do stałego zaopatrywania się w benzynę z przecieków przyznała się tylko jedna osoba, do korzystania z nich od czasu do czasu następne dwie osoby. Nigdy nie kupowało benzyny u kierowców państwowych tylko dziewięciu posiadaczy prywatnych wozów. Zatem, aż 45 procent ankietowanych żyje i jeździ z mniej lub bardziej nieczystym sumieniem.

Oczywiście, statystyka moja nie posiada większych wartości poznawczych. Jest po pierwsze zbyt mało reprezentatywna z racji znikomego zakresu objętych nią osób i nie upoważnia do jakichkolwiek uogólnień. Po drugie — zakłada szczerość odpowiedzi...

Nie chciałbym być pomówiony o czynienie wrzawy wokół tajemnicy poliszynela. Jednakże podczas paru tygodni reporterskich penetracji, pałętania się po budowach, stacjach CPN, warsztatach usługowych, państwowych i prywatnych, sklepach i sklepikach — widziałem i słyszałem wystarczająco dużo, aby możliwą była wygodna ucieczka w milczenie. Jak powiada dobry mój znajomy prawnik:

— Alarmu w zasadzie nie ma. Ujawnione przestępstwa z tego zakresu są stosunkowo nieliczne. Ale problem jest. Stary, nabrzmiały problem. I coś należałoby z nim zrobić.

Właśnie.

Na przekór domorosłym filozofom-cwaniaczkom pokroju wspomnianego na wstępie Dyzia. Tacy jak Dyzio żyć mogą tylko na marginesie. Rzecz w tym, aby margines był coraz mniejszy, aby Dyziom najpierw robiło się coraz ciaśniej, a potem w ogóle zabrakło dla nich miejsca. Ale to zależy przede wszystkim od nas samych. Jeżeli nikt z nas nie będzie korzystał z „pomysłowości" Dyziów — oni sami szybko znikną.

P.S. Występujące w tekście imiona i pseudonimy są autentyczne. Na wszelki wypadek zastrzegam jednak, iż prawdziwych nazwisk oraz adresów opisywanych ludzi — nie znam. Nie sądzę wszakże, aby ustalenie tych danych mogło stanowić większy problem dla specjalistów w przeciwieństwie do amatorskiej dłubaniny reportera dobrowolnie i na krótko w detektywa przemienionego...

Ferenc Sánta urodził się 4 września 1927 roku w Braszowie. Do gimnazjum uczęszczał w Cluj i w Debreczynie, potem zaś pracował w różnych fabrykach. W roku 1951 przeniósł się do Budapesztu. Przeżycia z lat dziecięcych, spędzonych w biedzie i w upokorzeniu, utrwalił w szeregu opowiadań, utrzymanych w pięknym nastroju ludowych ballad. Następny tom „Wilki w progu" ukazuje kolejne oblicza faszyzmu. Powieść „Piąta pieczęć", wydana także w Polsce, zajmuje się moralnością małych ludzi, którzy niespodziewanie stanęli przed wielkimi wydarzeniami historycznymi.

Dotąd najbardziej znaczącą jest jego powieść pt. „20 godzin", tłumaczona również na język polski. Według tej powieści nakręcono film. W języku polskim ukazała się też jego książka „Zdrajca".

Ferenc Sánta jest laureatem nagrody im. Attili Józsefa oraz nagrody im. Kossutha.

Słoma i szczęście

Ferenc Sánta

NIKT nie potrafi tak szybować na skrzydłach szczęścia jak moja żona. Jeśli niekiedy zabłąka się do nas złoty ptak, ona na najmniejsze jego wezwanie podrywa się do lotu.

Kręci się wtedy tak, że aż serce boli patrzeć. Pewnego razu, po ciężkich trudnych dniach, nawiedziło nas szczęście. Znów pod inną postacią. Przyszło do nas tak, że rozpoznaliśmy je dopiero w ostatniej chwili. Zbliżenie się jego przeczuliśmy po szumie skrzydeł.

Sen omijał nas od tygodni. Prawie przez całą noc nie mogliśmy zmrużyć oka. Przysiadł chwilę na naszych rzęsach, by zaraz ulotnić się gdzieś daleko. Łóżko nasze też nie należało do najwygodniejszych. Siennik był tak zleżały, że na dobrą sprawę spoczywaliśmy na deskach. Łóżko zrobiłem jakieś pięć-sześć lat temu, ale deski, zbite ongiś pięknie, bądź porozlatywały się, bądź połamały. W zimowe dni część z nich zawędrowała do pieca. Ich miejsce zastąpiły tarcice, a kto wie, ile razy i one zmieniały się. Czasem ustępowały miejsca gałęziom akacji, które z kolei zamieniały się w popiół. A nam bladły tylko twarze i kolor włosów. Jak wczesny szron osiadały w nas nitki jesieni. W pierwszych latach naszego pożycia śmialiśmy się ze wszystkiego. Na przykład w ciemności zagadywałem żonę:

— Śpisz już?

I zaraz zanosiliśmy się od śmiechu, zwłaszcza ona, z rękami na kolanach. Kiedy zapalałem światło, spoglądała na mnie wzrokiem, jakbym znalazł ją w zabawie w chowanego.

— Dzień dobry — zwykła była mówić i już śmiała się. Rozglądałem się po kątach i w końcu wtórowałem jej.

Wreszcie zaczęliśmy zastanawiać się, czym wypchamy nasz siennik? Może trawą, albo starymi, zleżałymi szmatami? O słomie mowy nie było. Chcieliśmy ją kiedyś kupić, ale kosztowała tyle, co moja dniówka, a nie mogliśmy przecież ostatniej łyżki strawy odjąć dzieciom od ust. Znosiłem już łodygi kukurydzy, trawę w zgrzebnych workach, ale bez skutku. Przydźwigałem nawet worek opadłych liści. Ale to nie było to. Nadal uwierały nas deski. A czas płynął i płynęły nasze prześmiane noce. Radość dnia mąciły sflaczałe sienniki. Kto by przypuszczał, jak wiele zależy od takiego drobiazgu i jak osobliwe są prawa życia? Nie mogliśmy ułożyć ust w inny kształt, same podrygiwały do śmiechu. Dzień wkraczał jak natręt. Budziliśmy się zmęczeni, z podkrążonymi oczami.

W połowie grudnia zgodziłem się do handlarza słomą, sianem i innymi płodami rolnymi. Był brzydki, mały, z pochylonymi plecami, pokręcony. Budził we mnie uczucie wstrętu. Szybko zawarliśmy umowę: będę pracował u niego przez dwa popołudnia za cenę trzech wiązek słomy. Dotąd podejmowałem się różnych prac, ale nigdy z taką ochotą jak teraz. Ładowałem na wózki, sprzątałem podwórze, zamiatałem. Pod wieczór, gdy nikt mnie nie widział, stanąłem przed największą wiązką. Wznosiła się niczym wieża, sięgająca prawie chmur. Umieściłem się w jednej z jam stogu rozkoszując się szelestem słomy i minął spory kawał czasu, nim stamtąd wyszedłem. Stóg raz jeszcze okrążyłem i wybrałem trzy najlepsze wiązki. I nie wstydziłem się tego, że postępuję jak chłopiec. Z moimi wiązkami zacząłem rozmowę. Opowiedziałem im, jaki je czeka los i że powinny być dumne, że dwojgu ludziom sprowadzą wreszcie dobry sen, sen, w którym wieczorne gwiazdy spadną na nasze oczy i przycupną na nich aż do świtu.

Złoty ptak, który tak zaprzątał myśli żony, ważył się w chłodnym powietrzu gdzieś wysoko. Złoty pył strząsał z piór, gdyż wszystko wokół mnie błyszczało. Wreszcie i mnie zmusił do uwierzenia w swoje istnienie, bo kto tylko wszedł na podwórze, witał się ze mną. Było to pierwsze w moim życiu, ten nastrój i te witania. A w ostatnie popołudnie pracy pewien furman zaofiarował się przywieźć mi słomę do domu.

Gdy skręciliśmy w moją ulicę, pierwszy rzuciłem się do otwierania bramy. Słomę złożyliśmy pod domem. I jakby świat chciał świętować tę chwilę, z nieba posypały się płatki śniegu. Pożegnałem się z woźnicą i wszedłem do mieszkania. Do żony nie odezwałem się ni słowem, nawet nie przywitałem się z nią. Podszedłem do krzesła i na jego oparciu powiesiłem płaszcz. Żona akurat coś szyła i na moje wejście opuściła ubranie wraz z igłą na kolana. Chwilę przyglądała mi się, po czym rzekła:

— Dobry wieczór.

Nawet na nią nie spojrzałem. Podszedłem do zasłanego łóżka i zacząłem je rozwalać, ciągle milcząc. Rozrzucałem poduszki, jedną na krzesło, drugą na stół. Żona, zdumiona, milczała. Wreszcie podeszła do najmłodszego chłopczyka i odezwała się w te słowa:

— Co ugryzło tego człowieka?

Potem podeszła do mnie. Z założonymi do tyłu rękami obserwowała, co robię. Gdy zarzuciłem na ramię prawie pusty siennik, wydała okrzyk radości. Głos jej był niby gołąb który wreszcie sfrunął na ziemię.

— Słoma — krzyczała ze splecionymi dłońmi. I już biegła do drzwi, a dzieci za nią, i nie oparli się aż na podwórku przy wiązkach. Odwiązała jedną z nich. Nie pozwoliła mi samemu wypychać siennika. Przyniosła płaszcz i uklękła obok. Wyciągała wiechetki i podawała mi, a kiedy powiedziałem, że słoma już zapłacona, wtedy wezbrała radością jak wiosenny potok... Podpowiadała, jak wypchnąć siennik, że trzeba kłaść słomę wzdłuż i w poprzek, by dobrze ulegiwała się. Potem razem z synem usiadła na dwóch nie rozwiązanych wiązkach. Przytuliła chłopca do siebie i zaczęła śpiewać jakąś kołysankę dla niemowląt o przyniesionej do domu słomie, którą teraz wypchamy siennik, wniesiemy go do mieszkania i będziemy na nim spać tak, że aż nam aniołowie będą zazdrościć.

Na czas spania łóżko było gotowe. Gdy jedliśmy kolację, żona czuła się jakby unosił ją złoty ptak na pięknych skrzydłach. Położyliśmy się, on zawisł ponad łóżkiem ważąc się nad głowami. I gdyby ktoś mógł go dostrzec, uwierzyłby, że kołuje również w głębokim niebie. A żona moja właśnie tam go widziała. Z wolna i ja zacząłem szybować w niebiosa. Wyciągnąłem się na miękko szeleszczącym łóżku i czułem nie zimno, lecz ciepło rozchodzące się po plecach.

Potem zgasiłem lampę. Głowę żony ułożyłem na swoim ramieniu. Wtuliła czoło w mój policzek. I już wytryskał z niej śmiech, który wkrótce zacichł. W piecu żarzyły się jeszcze węgle, z których czasami wyskakiwała jakaś iskra. Żona odwróciła się do ściany, jakby chciała jej przesłać płomyki swoich uśmiechów. Tańczyły na suficie razem z płomykami żarzących się węgli. Pozostałem sam i dałem ponieść się myślom. Szeleściła pode mną słoma. By nie słyszeć jej, zacząłem nasłuchiwać chichotania żony. Przypomniałem sobie tamtego pochylonego człowieczka i poczułem się, jakbym stamtąd cały świat przeniósł do naszego mieszkania. Hej, ptaku złoty, dziwną jesteś istotą! Przez ułamek sekundy i siebie zobaczyłeś ze mną. Jakbyś naprawdę istniał w tym szybowaniu. Jeśli znów przylecisz, siądź na ziemi, a ja cię dosiędę. Nastrosz się. Powiem wówczas: o jak pięknie w dal zmierzasz.

Żona znów zaczęła się śmiać. A myślałem że już zasnęła, ale gdzie tam! Prawie zanosiła się od śmiechu drżąc na całym ciele. Cicho przemówiłem do niej.

— Zostaw i na jutro trochę tego szczęścia.

Właśnie wtedy poczułem gorące strumyczki spływające mi z policzka na szyję. Odwróciła głowę, prawie wyrywając ją z moich dłoni. Płakała. Zastygłem, a potem jakby oblany ukropem wyskoczyłem z łóżka i zapaliłem lampę.

— Dlaczego płaczesz? — zapytałem biorąc żonę za rękę.

Wtuliła głowę w poduszki i łkała dalej. Zaniechałem dalszych pytań i zgasiłem światło. Położyłem się z rękami leżącymi po obu stronach mego ciała. Płakała, jak nigdy dotąd. Śledziłem cienie na suficie. Tańczyły, nikły, znów pojawiały się i znowu umierały. Dlaczego płaczesz? I po co pytam. Jak ma mi odpowiedzieć. Niech usiądzie, zacznie objaśniać. Przyłożyłem rękę do jej twarzy. Była rozpalona i mokra.

— No nie płacz, zostaw już.

Jakby przepraszając odełkała:

— Już nie płaczę...

I głos uwiązł jej w krtani. Położyła mi ręce na piersi i uspokoiła się. Nasłuchiwałem jej oddechu, jakby znów sposobił się do płaczu. Wreszcie ledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Zobacz, czy się dzieci nie odkryły.

Wstałem i w odblasku żaru przyjrzałem się im kolejno. Ależ one rosną! Najstarszemu już nogi wyłażą za kołdrę.

Przełożył Aleksander Nawrocki

Fot. Archiwum

Po drugiej stronie Tatr

NOWE TŁUMACZENIA

W STYCZNIU czeskie i słowackie oficyny wydawnicze przyniosły kilka ciekawych tłumaczeń z literatury polskiej. Na czoło wybijają się dwa przekłady poezji — Jana Pilafa wybór liryki miłosnej Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego pt. „Palcem obracasz planety" (Odeon) oraz wznowienie znakomitych przekładów Mirko Procházki na słowacki dwóch poematów Władysława Broniewskiego — „Mazowsza" i „Komuny Paryskiej", zebranych w tomie pt. „Dwa skrzydła wiersza". Najnowsza antologia wierszy Gałczyńskiego to trzecia pozycja Pilafa z twórczości tego poety (w 1960 r. w antologii „Niobe" trzech poetów polskich W. Broniewskiego, K. I. Gałczyńskiego i J. Tuwima dał kilkanaście wierszy K. I. G, zaś w roku 1963 wydał Pilaf w Klubie Przyjaciół Poezji, najbardziej masowej bibliotece poezji, „Zaczarowaną dorożkę").

Z prozy odnotować warto następujące pozycje: na czeski przetłumaczono „Próżnię" Andrzeja Brauna (Helena Teigowa, wyd. „Naše vojsko") oraz cykl opowiadań Mirosława Żuławskiego pt. „Opowieści mojej żony" (Vendulka Zapletalowa, wyd. Odeon). Na słowacki przetłumaczono trzy nowele o wojnie z twórczości współczesnych pisarzy polskich: I. Dowgielewicz, J. Krasińskiego oraz J. Krzysztonia, opatrując je wspólnym tytułem „Panna preštastná" (Panna przeszczęśliwa, tł. M. Wiachowska, posłowie H. Iwaniczko, wyd. Tatran).

Z wielkim zainteresowaniem oczekiwany jest wybór wierszy 18 współczesnych poetów polskich, który na cześć 30-lecia PRL przygotował Jan Pilaf. W antologii reprezentowana jest twórczość współczesnych poetów, tych, którzy znani są w Czechosłowacji z wcześniejszych tłumaczeń — Różewicz, Szymborska, Harasymowicz, jak i tych, którzy zostają przedstawieni czytelnikowi po raz pierwszy: Białoszewski, Bryll, Nowak. W sumie 100 wierszy w przepięknym wydaniu w tejże bibliotece Klubu Przyjaciół Poezji (jako 17 tom roku 1974 wyd. „Československý spisovatel"). W dorobku Jana Pilafa z poezji polskiej, po wydanej w ubiegłym roku świetnej antologii poezji W. Broniewskiego pt. „Nadzieja" („Klub Przyjaciół Poezji") razem ze wspomnianym wyborem poezji miłosnej K. I. Gałczyńskiego, są to najlepsze, zarazem najwybitniejsze tłumaczenia. Ich znaczenie, szczególnie w Roku Jubileuszowym PRL, wykracza daleko poza ramy „normalnej" wymiany kulturalnej między naszymi narodami.

(j. dam.)

Bartoś wielki szaławiła

JAK smakowała lubelska kuchnia na — wrócę jeszcze do niej — „Panoramie"? Oczywiście, wyśmienicie. Bo kto z zapytanych chciałby nam popsuć humor nawet gdyby było inaczej? Poza tym jak to dobrze, że Rzymianie wymyślili to przysłowie o gustach. Wszystko się da przynajmniej sproblematyzować.

Ale oprócz karczmy była w Warszawie wystawa książek. „Lubliniana w zbiorach Biblioteki im. Łopacińskiego" gościły w Bibliotece Publicznej Miasta Warszawy przez dni dziesięć. Tamże dział starych druków.

Stary druk, biały kruk — czapkę z głowy aż do nóg.

Nieźle, ale co dalej? Może tak:

Więc kto ciekaw, niech nie czeka — pędem, gdzie facecji huk.

Chwileczkę, w porządku chronologicznym. I z zachowaniem pisowni, interpunkcji oraz składni oryginałów. A więc: *Lublin podług ustaw medyki uważany i iedney Dyssertacji Przez Mich: A. Bergonzoni Filozofii i Medycyny Doktora, Konsyliarza J.K.M. i Towarzysza różnych Akademiy Medycznych i innych wyzwolonych Nauk Cum licentia Superiorum w Lublinie w Drukarni J.K.M. XX. Trynitarzów, Roku 1782.* To tytuł (prawie wszystkie będą tej długości). A oto paragraf X: *Przywłaszczywszy sobie powietrze cząstki istotne ciał, przemienia ie inaczey, i znich nowe składa, które potym podług różnych odmian powietrza, dziwne zmysłom naszym wystawują skutki. Są tego dowodem ognie na powietrzne i choroby z powietrza powstające i zaraźliwe.* Natomiast jeśli kto za przykładem inżyniera Szramowicza został przepojony problemem H_2O, ma paragraf XVI: *Należy ieszcze do powierzchowności miasta rozważanie wód, które służą do gotowania potraw i do napoiu zwyczajnego Obywatelów. Byłoby tu wcale pobudką do uczynienia Chimicznego rozebrania wód, nietylko w mieście ale i w okolicach miasta będących. Będzie to mogło bydź mi miłą w krótkim czasie zabawą, ieżeli skutek teraźniejszego moiego iakiegokolwiek bądź rozumowania, doda mi do tego przedsięwzięcia śmiałości. Teraz niech będzie dosyć namienić, iż wody niektórych krynic za miastem w nieiakiey odległości znayduiące się, lepsze są od wód w samem mieście będących, ponieważ Mieyskie studnie maią w sobie po większey części wody grube, ciężkie i pełne cząstek ziemnych i solnych, które są zdolne do uformowania zatrzymania się humorów i zamulenia, to iest reumatyzmów podagr, chorób kamienia i innych podobnych, które ustawicznie, różnej płci ludzi nagabuią.*

Sięgamy dalej: *Wieczory zabawne, czyli rozrywka dla dam i kawalerów, w rozmaitych ciekawych i dowcipnych Wierszach i Anekdotach, z Przyłączeniem stu i oko Zagadek Nakładem Kazimierza Szczepańskiego w Lublinie Drukiem Jana Karola Pruskiego r. 1813.* Rozdział — *Modlitwa Rozwódek:*

Boże Stwórco całego świata, który o naymnieiszym robaczku masz oycowską pieczołowitość i staranie, ufam w Twoim nieprzebranym miłosierdziu, że nie zapomnisz i o mnie biedney kobiecie. Prawda, iż rozwiązłość moia, była mi powodem zbrzydzenia męża moiego, i z nim rozwiedzenia się, puszczaiąc się w przepaść rozpusty. Lecz poznaiąc teraz w całey rozciągłości błąd móy, żałuię serdecznie. Proszę Cię iak naypokorniey, abyś mię innym mężem obdarzyć raczył, z którymbym dzieląc małżeńskie rozkosze, bydź mogła spokojna. Wola Twoia niechay mną rządzi, lecz tylko zmiłuy się Panie, nie day mi męża starego, ubogiego, szpetnego, i chcącego mię trzymać w rygorze, bobym się znowu z nim rozwieść musiała; ale day mi takiego, któryby we wszystkim umiał mi dogadzać, i we wszystkim chciał się wolą prowadzić moią.

W tym samym dziele: *Rozmowa Przyjaciół:*

Dway przyjaciele, którzy nie widzieli się z sobą od dawnego czasu spotkali się z sobą trafunkiem. — Jak się masz? zapyta ieden — Nie za wszystkim dobrze, odpowiada drugi, ożeniłem się — Winszuję, dobra nowina! — Nie koniecznie dobra; bom poiął złą kobietę — To źle. — Nie koniecznie źle, bom wziął z nią tysiąc luidorów posagu. — No! to przecie, iedno drugie nadgradza. — Nie koniecznie nadgradza, bom tę całą summę wyłożył na barany, a te mi wszystkie wypadły. — To szkoda! — Nie koniecznie szkoda, bo mi za skóry z nich przedane, wrócił się sowicie kapitał. — No! to taką rzeczą nie masz straty. — Kata zaś nie mam kiedy mi się dom spalił, w którym miałem złożone te pieniądze. — A! co to, to wielkie nieszczęście! — Nie koniecznie wielkie, bo mi się żona razem z domem spaliła.

Jest w tej książce rozdzialik rymowany *Abecadło Panieńskie O wyborze uczciwego Kawalera.* Kawalerowie są tu ustawieni według alfabetu i poddani krytycznej uwadze, my natomiast naszą uwagę zatrzymamy tylko przy niektórych:

Bartoś wielki szaławiła
bo pić, hulać, rzecz mu miła,
Upiwszy się niestatkuie,
Kogo zechce powołuie,
Dziwak i cudak.

Cyprys życzliwy każdemu,
Dla tego posłuszni iemu:
I dla swoiey życzliwości
Naprosiłby w dom móy gości
I mnie by zniszczył.

Franciszek intrycyalista
Czyli też naturalista,
Lubo mało z kim się braci,
A iednak fortunę traci
I mnieby zgubił.

Maciey w leciech starzec siwy,
W oczach ludzkich ledwie żywy,
Bo on zawsze trupem trąci,
Nie chciałabym takich zięci,
Wolę młodego.

Xawery z wielkiey chciwości
Pali się ogniem miłości.
Ja go niechcę, bo się boię,
By nie spalił wszystką moią
Fortunę co mam.

W Abecadle kawalerskim względem wyboru dobrey żony rewanżują się młodzieńcy:

Cecylia czyni wzmianki,
Ustawicznie gra w organki
I w kawalerach przebiera
Chociaż ledwo nie umiera
Sama bez męża.

Otylya ta utyla,
Dla tego mi iest miła,
Iże uniey taka mina,
Życzyłbym iey Tatarzyna:
Ale nie siebie.

A może coś z poezji? Księga ma... 6 stron i tytuł: *Oda do natchnienia czytana na publicznem Posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk Województwa Lubelskiego dnia 8. Maja 1819 Roku. przez Kazimierza Puchałe. Członka tegoż Towarzystwa — w Lublinie — w Drukarni Kaźi: Szczepańskiego:*

Stóy Rozumie! ia natchniony,
Spieszę z Ikarem z zawody,
Choćby brzeg nie znanej wody
Miał bydź mym zgonem wsławiony.

Wystarczy. Razem z Ikarem i Kazimierzem Puchałą już jesteśmy skąpani w (Kreteńskim) morzu poezji:

Na zakończenie tytuł całkiem krótki — *Obrazki lubelskie przez Antoniego Wienlarskiego* — natomiast fragment nieco dłuższy. Opis targów w Łęcznej:

Szlachcic opasany ładowanym trzosem, pokręcając wąsa jechał stępo na bułanym albo woronym cztapaku, zanim długim sznurem ciągnęły wozy ze zbożem, przędziwem, miodem i innemi przedmiotami, szły liczne stada domorosłych koni, spore trzodki wyhodowanego bydła.

Na wstępie do jarmarcznego miasteczka zastępował mu drogę żyd lub ormianin, kłaniał się nisko, całował stopy i z wozów ubywało, i trzody się przerzedzały, a za to trzos stawał się coraz pełniejszy, i coraz okazalej z pod żupana wyglądał. Potem kiedy już ostatni worek zboża i ostatni gniadosz ze stada przeszły w ręce uniżonych sług pańskich, nasz trzosowy jegomość szedł do tureckich, ormiańskich, perskich, nowogrodzkich kramów, oglądał hanrzeatyckie sajety, tureckie atłasy, perskie jedwabie, nowogrodzkie futra, i karbując: to dla mojej Jagusi na świąteczny żupanik, bo jej się niebieski dziesięciu laty kupiony nadszarzał; to dla mojej dzieweczki na spódniczkę, a to dla tego urwisa co mu już cudze progi pachną, na deliję; składał sztuki drogich zamorskich materji, słuckich i perskich pasów, ładował na wozy faski korzeni, pudła bakalji, i pieczętując handel toruńskim piernikiem powracał rad do domu, aby go przynajmniej na rok cały w potrzeby zaopatrzyć i wybiegającą na przywitanie żonę i dziatki gościńcem uweselić.

Ale nie zawsze tak było, bo

jarmarki straciły na dawnem wzięciu, a niezadługo prawie zupełnie zmieniły swą postać; pijatyki i hulanki zajęły miejsce hucznych targów, szulerzy, szarlatani różnego rodzaju zastąpili dawnych przemysłowców, spadając jak ćma szarańczy na miasta i miasteczka jarmarczne; poważna szlachta powoli, nieznacznie zaczęła uczuwać odrazę do miejsc zepsucia i kuglarstwa; kupcy nie spieniężywszy towarów, porzucali chętkę kuszenia się o zawodne zyski. Jedna tylko jeszcze prowincjonalna młodzież, i to ta, która nie ma gdzie indziej popisać się z mocną do przepicia głową, z komplementami dla płci pięknej, przebierającej wcale niepięknemi paluszkami po stronach harfy i śpiewającej arcymiłym głosem:

«W pięknej Grenadzie była kobieta — z jazdą na koniu, i starannie pielęgnowaną brodą, pędzi na jarmarki aby zostawić parę tysięcy złotych, ciężko przez ojca zapracowanych szulerom, strwonić kilkaset złotych przy bufetach, i wrócić do domu z próżną kieszenią, z bólem głowy i z tytułem bohatera jarmarcznego w zysku.

To podziękujmy kartom, kartkom i karteczkom historii, do których zresztą nasze patriotyczno-lokalne uczucie nie raz jeszcze każe nam wrócić. To znaczy — skierować kroki do gmachu przy ulicy Narutowicza 4.

Bo lubelskie abc
zawsze znajdziesz w Wimbepe

o czym z dumą zapewnia
przysięgły lublinianin

Zygmunt Mikulski

KONKURSY

...na sztukę ludową

WYDZIAŁ Kultury Urzędu Wojewódzkiego, Muzeum Okręgowe oraz Stowarzyszenie Twórców Ludowych organizują konkurs „Sztuka ludowa południowej Lubelszczyzny". Jest to konkurs otwarty dla twórców ludowych z powiatów: biłgorajskiego, hrubieszowskiego, janowskiego, kraśnickiego, krasnostawskiego, tomaszowskiego i zamojskiego. Obejmuje twórczość w dziedzinach: ceramika, plecionkarstwo, tkactwo, kowalstwo, malarstwo, rzeźba i plastyka obrzędowa (np. kwiaty, palmy, szopki, stroje kolędników, wycinanki).

Zestawy prac o dowolnej tematyce w ilości 5—10 sztuk należy nadsyłać do 1 czerwca 1974 roku pod adresem: Muzeum Regionalne, 23-400 Biłgoraj, ul. Rynek 31, dołączając imię, nazwisko, adres i spis przesyłanych prac. Rozstrzygnięcie nastąpi do 22 lipca 1974 r. Na nagrody, których wysokość i liczbę w każdej dyscyplinie ustali jury zależnie od poziomu i ilości nadesłanych prac, przeznacza się około 30 tys. zł. Organizatorzy mają prawo zakupu nadesłanych na konkurs prac, jak również zainteresowane instytucje, po cenach ustalonych komisyjnie. Wystawa pokonkursowa odbędzie się w Biłgoraju, zwrot niezakupionych prac nastąpi do 1 marca 1975 r.

...na powieść współczesną

CENTRALNA Rada Związków Zawodowych wraz z Instytutem Wydawniczym CRZZ ogłaszają konkurs na powieść współczesną, podejmującą problematykę pracy i życia ludzi z frontu produkcji. Ideą konkursu jest sięgnięcie do powszednich spraw zespołów pracowniczych, ujawnienie więzi losów i przeżyć ludzkich z pracą, pokazanie jak nakładają się na siebie cele, jak splatają dążenia jednostki i społeczeństwa a także jak świadomość tych współzależności kształtuje osobowość człowieka.

Na konkurs mogą być zgłaszane prace nigdzie dotąd nie publikowane w całości lub w części, nie drukowane w prasie i nie ogłoszone w radiu i telewizji.

Przewiduje się następujące nagrody:
I — 25 000 zł
dwie VII po — 15 000 zł
dwie III po — 10 000 zł
oraz 2 wyróżnienia po 5 000 zł.

Prace w trzech egzemplarzach nie mniejszej objętości niż 200 str. maszynopisu, opatrzone godłem, należy zgłaszać pod adresem: Instytut Wydawniczy CRZZ, Warszawa, ul. Spasowskiego 1/3 w terminie do dnia 31 marca 1975 roku (rozstrzyga data stempla pocztowego).

Przesyłkę z dołączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres autora pracy należy sygnować napisem „Konkurs na powieść". Rozstrzygnięcie konkursu ogłoszone zostanie w lipcu 1975 r.

...na pamiętnik „Współczesny mężczyzna jako mąż i ojciec"

OŚRODEK Badań nad Współczesną Rodziną przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Planowania Rodziny ogłasza konkurs na pamiętnik pt.: „Współczesny mężczyzna jako mąż i ojciec".

Do udziału w konkursie zapraszani są wszyscy mężczyźni: dziadkowie, ojcowie, młodzi ludzie, podejmujący dopiero życie małżeńsko-rodzinne, a także najmłodsi, którzy dopiero w przyszłości założą rodzinę. Organizatorzy liczą również na udział kobiet. Oczekują ich wypowiedzi o ojcach, mężach, braciach i synach.

Objętość pamiętnika nie jest ograniczona.

Prace konkursowe mogą być podpisane tylko godłem (w takim przypadku nazwisko i adres należy podać w zaklejonej kopercie, opatrzonej godłem). Organizatorzy zapewniają pełną anonimowość. Prace należy nadsyłać w terminie do 1 września 1974 roku pod adresem:

Ośrodek Badań nad Współczesną Rodziną
00-324 Warszawa ul. Karowa 31

(z zaznaczeniem na kopercie: „Współczesny mężczyzna jako mąż i ojciec").

Za najlepsze opracowania pod względem treści (a nie formy czy stylu) jury przyzna następujące nagrody: I nagroda w wysokości 7 000 zł, dwie II nagrody po 5 000 zł, trzy III nagrody po 3 000 zł. Przewiduje się także przyznanie wyróżnień.

Jury konkursu przewiduje możliwość innego podziału nagród. Organizatorzy zastrzegają sobie także prawo publikowania wybranych pamiętników czy fragmentów, oczywiście z zachowaniem zasady anonimowości autorów.

XV tom „Rocznika Lubelskiego"

ZAPOCZĄTKOWANY w latach pięćdziesiątych dynamiczny rozwój lubelskiego naukowego ośrodka historycznego spowodował, że już wówczas wielkiego znaczenia nabrała sprawa udostępnienia i spopularyzowania najciekawszych i najważniejszych rezultatów badań lubelskich historyków. Zadaniom tym nie mogły już sprostać wydawane w obu uniwersytetach czasopisma naukowe, które z uwagi na swój ogólnohumanistyczny profil tylko w ograniczonym stopniu prezentowały dorobek historiograficzny. Sytuacja uległa znacznej poprawie w chwili, gdy dzięki pomocy władz wojewódzkich i przy poparciu całego środowiska historycznego udało się zrealizować inicjatywę grona czołowych historyków lubelskich powołania nowego wydawnictwa naukowego, poświęconego wyłącznie sprawom historii jak najszerzej rozumianej.

Pierwszy tom „Rocznika Lubelskiego", będącego organem Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, ukazał się w 1958 r. „Rocznik" przechodził różne przeobrażenia, jego profil tematyczny, ograniczony zrazu do problematyki regionu, rychło został poszerzony o sprawy ogólniejsze (historia Polski i powszechna), zmieniła się również jego struktura, układ treści, szata graficzna etc. Wszystko to przyczyniło się do podniesienia poziomu naukowego periodyku, który dzięki temu zdobył sobie trwałą i wysoką pozycję w bogatym czasopiśmiennictwie historiograficznym w Polsce.

Dobrą tradycję czasopisma podtrzymuje świeżo opublikowany, niejako już jubileuszowy, piętnasty tom (za 1972 r.).

Cykl artykułów „rocznicowych" otwiera szkic **Andrzeja Kempfiego** (jedyny przedstawiciel środowiska pozalubelskiego) poświęcony heliocentrycznej doktrynie Kopernika, w którym autor stara się naświetlić okoliczności towarzyszące narodzinom koncepcji astronoma i podjętym przezeń zabiegom w celu jej upowszechnienia w kręgach naukowych ówczesnej Europy. O tym, jak przyjęta ona została wśród uczonych angielskich żyjących w czasach Szekspira, wypowiada się w następnym artykule **Henryk Zins**. Godzi się podkreślić, że autor w poszukiwaniach dowodów życzliwej i trwałej recepcji nowej kosmologii kopernikowskiej nie ograniczył się tylko do analizy twórczości angielskich astronomów i matematyków, lecz sięgnął również do źródeł typu ikonograficznego. Poruszone w artykule problemy stanowią tylko pewien wycinek badań, których całościowe wyniki autor przedstawił w odrębnej monografii „M. Kopernik w angielskiej kulturze umysłowej epoki Szekspira" (1972) swego czasu recenzowanej w „Kamenie".

Znacznie obfitsze opracowania przyniosła problematyka związana z Komisją Edukacji Narodowej. **Jan Dobrzański**, znawca dziejów oświaty ojczystej (ogólną charakterystykę jego 45-letniej działalności naukowo-pedagogicznej przynosi zamieszczony w tymże tomie szkic **K. Myślińskiego**), dokonał syntetycznego przeglądu najważniejszych osiągnięć KEN. Z kolei **Maria Krupa** pokusiła się o porównanie stanu polskiej szkoły parafialnej w dobie Komisji z sytuacją szkoły ludowej w Prusach i Austrii, dochodząc do konkluzji, że oświata elementarna w Polsce stała na znacznie wyższym poziomie aniżeli w państwach ościennych.

Gustawa Hyczko na podstawie analizy spuścizny publicystyczno-naukowej E. Dembowskiego przedstawia istotę jego koncepcji wychowania oraz wkład do dorobku polskiej myśli pedagogicznej.

Dwa następne artykuły związane są ściśle z dziejami Lubelszczyzny. **Albin Koprukowniak** w oparciu o analizę bogatego materiału archiwalnego podjął ważny temat walki o polską szkołę ludową w guberni lubelskiej na przełomie XIX i XX w. Wiele poruszanych przezeń spraw znalazło swoją kontynuację w artykule **Ryszarda Kuchy**, który omówił rozwój tajnego nauczania w guberniach lubelskiej i siedleckiej w latach 1905—1914.

Kazimierz Myśliński, dokonując krytycznego rozbioru źródeł pisanych i archeologicznych oraz różnych, z reguły kontrowersyjnych opinii badaczy, spróbował odtworzyć polityczne losy pogranicznych terenów nadbużańskich (wschodnia Lubelszczyzna i Wołyń) w okresie formowania się państwa polskiego i Rusi Kijowskiej. Oryginalne wnioski i sądy autora rzucają sporo światła na mroczne na ogół, wskutek ubóstwa przekazów źródłowych, dzieje naszego regionu w schyłkowych wiekach pierwszego tysiąclecia.

Stanisław Tworek przedstawia w sposób krytyczny poglądy zarówno pisarzy współczesnych jak i późniejszych historyków i znawców dziejów literatury w kwestii „Rzeczypospolitej Babińskiej" formułując w zakończeniu własną ocenę tego osobliwego zjawiska. Chociaż zasadnicze rozważania **Mirosławy Zakrzewskiej-Dubasowej** koncentrują się wokół armeńskich orientacji politycznych na przełomie XVII i XVIII w., to jednak autorka uwzględniła niektóre elementy z historii Polski, M. in. omówiła wpływ polityki zagranicznej Rzplitej na kształtowanie się dążeń i działań niepodległościowych narodu armeńskiego, wyjaśniła stosunek do tych zagadnień ludności ormiańskiej żyjącej w Polsce i innych krajach.

Przyczynkarski artykuł **Jana Skarbka** ukazuje przebieg i wyniki formowania w woj. lubelskim oddziałów regularnego wojska powstańczego w 1831 r. Natomiast **Wiesław Sładkowski** daje pogłębiony obraz stosunku opinii publicznej we Francji do sprawy polskiej w trzecim roku I wojny światowej (styczeń—listopad 1916 r.).

Publikacja **Ireneusza Cabana** o organizowaniu władzy ludowej w Lubelskiem (lipiec—wrzesień 1944), w jubileuszowym roku PRL nabiera szczególnej aktualności. Autor przedstawia przebieg walki o władzę między dwoma obozami politycznymi: lewicowym i burżuazyjnym, wskazuje na trudności, które wystąpiły w toku formowania aparatu władzy ludowej.

W sumie więc XV tom „Rocznika" przynosi wiele nowego i interesującego materiału. Uzupełniają go recenzje opracowań naukowych, pamiętników itp. dział poświęcony życiu naukowemu środowiska oraz zestawienie bibliograficzne materiałów do dziejów Lubelszczyzny opublikowanych w 1971 r.

Stanisław Wiśniewski

„Rocznik Lubelski" T. XV, 1972, red. nacz. K. Myśliński, Lublin 1973, Wydawnictwo Lubelskie, str. 300.

„Harcerki, 1939-1945"

W OSTATNICH tygodniach ukazała się dawno oczekiwana monografia „Harcerki, 1939—1945", opracowana na podstawie materiałów dokumentarnych i relacji wspomnieniowych z lat okupacji. Książka ta z powodu bardzo niewielkiego nakładu (800 plus 200 egz.) znajdzie się prawie wyłącznie tylko w bibliotekach i czytelniach. Ze względu na walory wychowawcze zasługuje jednak na recenzję.

Protektorat nad opracowaniem zebranych materiałów objął Instytut Historii PAN, a w szczególności byli jego dyrektorzy, nieżyjący już prof. Płoski i prof. T. Manteufel. Całość (500 stron druku) ujęto w 12 rozdziałach. Struktura pracy jest chronologiczno-zagadnieniowa. Przedstawiono organizacyjną działalność harcerstwa żeńskiego, w którą wpleciono indywidualne wspomnienia. Poszczególne rozdziały dotyczą struktury organizacyjnej przedwojennego ZHP, akcji podejmowanych przez harcerki we wrześniu 1939 r., w czasie okupacji i Powstania Warszawskiego. Obszerny rozdział poświęcony jest działalności poszczególnych chorągwi harcerskich. Następne dotyczą działalności harcerek w szkoleniu kadr do prac w konspiracji, szeroko zaplanowanej akcji w służbie cywilnej, obejmującej opiekę nad dzieckiem miasta i wsi, pomoc jeńcom wojennym i wywiezionym do obozów koncentracyjnych, ponadto pracy w dziale oświaty i kultury. Na zakończenie składają się: imienna lista strat z krótkimi notatkami biograficznymi, wykaz relacji i wspomnień zdeponowanych w III PAN oraz bibliografia.

Ponieważ tylko nieliczni w Lublinie mogą zapoznać się z tym cennym wydawnictwem, warto przytoczyć niektóre dane z działalności Chorągwi Lubelskiej.

W 1938 r. Chorągiew Lubelska liczyła 5455 harcerek (3 miejsce w Polsce), 23 hufce, 237 drużyn i 255 instruktorek. Lubelskie harcerki już kilka lat przed II wojną światową specjalizowały się w służbie łączności. Założyły wiele linii telefonicznych, kilka central, stacje krótkofalowe. Niezależnie od tego współuczestniczyły we wszystkich akcjach opieki nad dziećmi (prowadziły ochronki, kuchnie dożywiania, świetlice), a w okresie pacyfikacji i wysiedlania dzieci z Zamojszczyzny zorganizowały dla nich opiekę i ochronę. Instruktorki i starsze harcerki brały udział w ruchu oporu, w tajnym nauczaniu.

Chorągiew Lubelska dołączyła do poszczególnych rozdziałów 40 relacji. W wysokości strat wojennych w ludziach zajęła piąte miejsce po Warszawie, Łodzi, Pomorzu i Kielcach.

Jeżeli Instytut Historii przedłuży swój patronat nad opracowaniem materiałów z pierwszych lat organizacji harcerskich (1911—1921), złożonych we wrocławskim Ossolineum, następnie materiałów zbieranych obecnie w komitetach historycznych przy chorągwiach, będziemy mogli odtworzyć w całości piękne dzieje tej zasłużonej organizacji młodzieżowej.

Janina Opieńska-Blauth

Laureaci nagrody literackiej im. Andrzeja Bursy

EWA Lipska, Stanisław Barańczak, Marek Skwarnicki, Rafał Wojaczek — pośmiertnie, to tylko niektórzy spośród laureatów dorocznej nagrody literackiej im. Andrzeja Bursy przyznawanej przez krakowską grupę poetycką „Barbarus" za teksty literackie wybijające się poziomem i pozwalające rokować nadzieje na dalszy rozwój twórcy.

W roku bieżącym nagroda ta przypadła w udziale Janowi Pawłowi Krasnodębskiemu za twórczość prozatorską i Leszkowi Moczulskiemu za wiersze. W czasie wręczania nagrody (uroczystość odbyła się w Dworku Matejki w Krzesławicach k. Krakowa) Stanisław Stanuch powiedział m. in.: *Nagroda im. Andrzeja Bursy jest przyznawana tym twórcom, którzy tak jak zmarły tragicznie Bursa próbują podejmować i rozwijać tematykę pokolenia współczesnego, zauważają zależności i konflikty swoich rówieśników, starają się dla języka literackiego zyskiwać sprawy i tematy pozornie temu językowi obce.* Uzasadniając przyznanie nagrody J. P. Krasnodębskiemu Stanuch zauważył odmienność, liryzm i humor jego prozy.

Leszek Moczulski, poeta, twórca piosenki kabaretowej i teatralnej jest jednym z najbardziej w tej chwili zauważanych poetów młodego pokolenia, jego utwory nacechowane odwagą i bezkompromisowością zmuszają czytelnika do refleksji itd.

Tyle Stanisław Stanuch. Gwoli kronikarskiej ścisłości dodać trzeba, że nagroda w postaci pięknego dyplomu, tudzież książeczki PKO z wcale pokaźnym wkładem, wręczona została przez Tadeusza Śliwiaka. I tu chwila refleksji: nagroda im. Andrzeja Bursy jest fundowana przez krakowskie zakłady pracy; w roku bieżącym przez nowohucką spółdzielnię pracy. Tak się przejawia w Krakowie już od sześciu lat konkretny mecenat przemysłu nad ludźmi pióra. Może by i u nas w Lublinie skorzystać z tego przykładu?

(r)

Sennik egipski

- 4 -

Bieliznę wieszać — zmartwienie zmieni się w radość
Bieliznę prać — będziesz się tłumaczyć przed kimś
Bielizna mokra — płacz
Bierzmowanie — powodzenie w pracy
Biesiada — plotki
Bieżnia — wygodne życie
Bigos — złe towarzystwo, które przyniesie ci straty
Bilet wizytowy własny — nowa znajomość
Bilet loteryjny — korzyści materialne, wygrana
Bilet kolejowy — zmiana miejsca
Bilard — niewielka strata pieniędzy
Bilans robić — wykrycie złodzieja
Bilon (moneta) — niewielkie zyski
Biografię pisać — niestałość w zamiarach
Biret — niezwykła znajomość, wytworne towarzystwo
Biret nosić — zaszczytne wyróżnienie
Biskup — cześć, szacunek, ale i przestroga przed złym towarzystwem
Biust — dobrobyt
Biszkopty jeść — choroba w rodzinie
Biszkopty kupować lub robić — wiadomość o chorobie
Bitwa — nieporozumienie, a nawet proces
Biurko — nieprzyjemne sprawy
Biuro — praca bez zapału, złe samopoczucie
Biwak — przejściowe osłabienie
Biżuterię oglądać — lekkomyślny czyn
Biżuterię nosić — niepotrzebna pycha i zarozumiałość, które mogą ci przynieść straty moralne i materialne
Blacha — kłótnia
Blankiet wekslowy podpisywać — kłopoty i wydatki
Blankiet wekslowy niewypełniony otrzymać — uciążliwe obowiązki
Blankiet wekslowy wypełniony otrzymać — niepewne interesy
Blask słoneczny — zadowolenie, szczęście, dobry prognostyk dla wszelkich spraw
Blizna zakrwawiona — poświęcenie się dla spraw domowych
Blizna u siebie — zaszczyt, praca społeczna
Blizna u kogoś — pomoc samarytańska, praca społeczna
Bliźnięta — pomyślny wynik interesów
Blondynka — flirt, wesołe towarzystwo
Bluszcz — smutek bez głębszej przyczyny
Bluza — pożyteczna praca
Bluźnierstwo — sprawa policyjna lub sądowa
Bławatki — niewinna zabawa, flirt itp.
Bławatny sklep — zaproszenie na chrzciny lub też na inną okolicznościową zabawę
Błazen — zabawa z wynikiem smutnym
Błądzić — trudna sytuacja
Błędny ognik — strata przez nieuczciwość
Błękitny kolor — pozyskanie dla siebie przychylnych ludzi
Błogosławieństwo — przemijająca trwoga
Błoto — brodzić po nim — choroba
Błoto — wpaść na nie — zguba moralna, wielkie nieprzyjemności
Błyskawice — niebezpieczeństwo
Bochen chleba — dobrobyt
Bób rwać — nieporozumienie
Bób sadzić — rozszerzenie interesów
Bobrowe futro — dojdziesz do celu
Bocian — przyrost w rodzinie; wiadomość o chrzcinach
Bocian latający — dobre nowiny od rodziny
Bogarodzica — ważne wydarzenie w życiu
Bogini — spełnienie życzeń, głównie sercowych
Bóg — szczęśliwe spełnienie zamiarów
Bogactwo — zmartwienie
Bohomaz — niepożądana wizyta
Bojaźń — urojone troski
Bokser — spotkanie ze złośliwym człowiekiem
Boksować się — pokonasz trudności
Bohaterem być — dla małżeństwa kłótnia; dla innych burzliwe dyskusje
Bohatera widzieć — szczęście w miłości
Ból odczuwać samemu — ukojenie trosk
Ból ucha — złe wiadomości
Ból zębów — przykrości w rodzinie
Ból zadać komuś — choroba lub silne zdenerwowanie
Bomba — niespodzianka
Bąble mieć na ciele — choroba u znajomych
Bombonierka — zysk, podarunek
Bombonierkę dawać — gniew, poróżnienie
Borówki jeść — pocieszysz przyjaciela w kłopotach
Borówki zbierać — niepewny zarobek
Bór — błądzić po nim — będziesz zamieszany w nieczystą sprawę
Boso chodzić — pieniądze
Boże Narodzenie — radość
Braki odczuwać — poprawa bytu
Brama otwarta — zaproszenie na zabawę lub w gości
Brama zamknięta — zamiary nie spełnią się
Bramy miasta — podróż po pieniądze, ale powrót bez nich
Bransoleta — zazdrosna miłość
Brat — szczęśliwe wydarzenie w rodzinie
Bratowa — nieporozumienie w rodzinie
Bratek — nowa znajomość
Brodawki — zdrada tajemnicy
Broda długa, gęsta — zmartwienie
Broda krótka — niepowodzenie
Broda siwa — dobra rada, której należy słuchać
Broda ruda — zdrada
Broda rzadka — nieprzyjemności
Broda u panny — małżeństwo
Broda u mężatki — syn
Brodzić po błocie — choroba
Broń — strata przyjaciela
Brona — mozolna praca z korzyścią
Broszka — dla młodych wzajemna miłość; dla starszych przyjacielskie przywiązanie

Dalszy ciąg nastąpi

kultura 1974

Literatura

● Jarosław Iwaszkiewicz, prezes ZG ZLP, w związku z 80 rocznicą urodzin oraz 60-leciem pracy literackiej otrzymał list z gratulacjami od I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, został przyjęty w Belwederze przez Przewodniczącego Rady Państwa H. Jabłońskiego i premiera P. Jaroszewicza oraz odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

● Stanisława Fleszarowa-Muskat pisze trylogię „Tak trzymać" o rozwoju współczesnej myśli morskiej w Polsce. W roku bież. ukaże się pierwszy tom pt. „Wiatr od lądu".

● Andrzej Wydrzyński napisał scenariusz siedmioodcinkowego serialu filmowego dla telewizji. Temat oparty jest na wątkach powieści W. Łozińskiego „Zaklęty dwór".

● Znany satyryk Antoni Marianowicz przygotowuje monografię o musicalu i antologię satyry amerykańskiej.

● 200 autorów radzieckich opracowuje słownik encyklopedyczny, poświęcony twórczości Michała Lermontowa. Ukaże się on w przyszłym roku.

● Utwory literackie Włodzimierza Majakowskiego ukazały się już w Związku Radzieckim w nakładzie 76 mln egzemplarzy w 70 językach narodów Kraju Rad, a 412 wydań ukazało się poza granicami ZSRR.

● Nagrodę literacką Rady Nordyckiej za rok 1974, przyznawaną tylko pisarzom skandynawskim, otrzymał pisarz duński Villy Soerensen za zbiór nowel oraz całą dotychczasową działalność pisarską.

Teatr

● Czytelnicy tygodnika „Radio i TV" za najważniejsze wydarzenie teatralne na małym ekranie uznali przedstawienie „Don Carlosa" Schillera, a za najwybitniejszą kreację aktorską rolę Zofii Kucówny w „Opowieściach mojej żony" według M. Żuławskiego.

● Warszawski Teatr Współczesny wystawił polską prapremierę sztuki dramaturga angielskiego Edwarda Bonda pt. „Lear", jest to dramat osnuty na wątkach szekspirowskich widzianych przez pisarza współczesnego. Reżyserował Erwin Axer, w roli tytułowej Tadeusz Łomnicki.

● 15 kół miłośników teatru, liczących razem tysiąc osób, utworzył w szkołach i zakładach pracy Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie.

● Londyński miesięcznik „Studio International", poświęcony aktualnej plastyce, zamieścił bogato ilustrowany esej Wiesława Borowskiego pt. „Tadeusz Kantor i jego teatr Cricot 2".

● Peter Weiss, dramaturg niemiecki zamieszkały w Szwecji, pisze nową sztukę o Chile.

Sztuka

● W ramach obchodów 30-lecia PRL — ZPAP ogłosił cykl pięciu konkursów ogólnopolskich. Trzy z nich poświęcone będą różnym aspektom tematu: człowiek w malarstwie, rzeźbie i grafice. W 7 miastach wojewódzkich zorganizowane będą ogólnopolskie wystawy rzeźby.

● Od połowy czerwca do połowy sierpnia trwać będzie w Krakowie V Międzynarodowe Biennale Grafiki. Zgłosiło się już ponad tysiąc artystów z całego świata. Część eksponatów obejmą wystawy w Katowicach i Poznaniu.

● W lipcu odbędzie się w Krakowie i Triennale Plastyki Amatorskiej, prace będą przyjęte na podstawie eliminacji wojewódzkich. Jednocześnie odbędzie się sympozjum na temat roli twórczości amatorskiej oraz mecenatu nad plastykami-amatorami.

● W Muzeum Historycznym m. Warszawy eksponowano stałą wystawę, pokazującą Warszawę u schyłku XIX w. i w początkach naszego stulecia. W każdy wtorek odbywają się tam koncerty.

● Ponad 200 prac dzieci z 21 krajów nadesłało na konkurs pod hasłem „A to Polska właśnie", zorganizowany przez WDK w Bydgoszczy przy współpracy redakcji dla zagranicy Polskiego Radia.

● W Moskwie podpisano umowę o współpracy pomiędzy ZPAP a Związkiem Plastyków ZSRR, która przewiduje znaczne zwiększenie wymiany artystów i wystaw.

Muzyka

● W warszawskiej PWSM zakończył się II Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny. Z 28 zgłoszonych tylko 12 spełniło wymagania, stawiane przez jury.

● Koncertem monograficznym poświęconym twórczości Witolda Lutosławskiego zakończył się X Festiwal Polskiej Muzyki Współczesnej we Wrocławiu. Ogółem w 11 koncertach znalazło się 60 utworów.

● W dniach 21—24 marca odbędzie się we Wrocławiu jedenasty już „Jazz nad Odrą". Tegoroczny festiwal będzie konkursem jedynie jazzu zespołów nowoczesnych (tradycyjne ma warszawska „Złota Tarka"). W ramach imprez towarzyszących m. in. koncert pt. „Młody jazz europejski" w obsadzie międzynarodowej.

● W Teatrze im. Giuseppe Verdiego w Trieście odbyła się premiera opery Krzysztofa Pendereckiego „Diabły z Loudin". Wszystkie bez wyjątku recenzje są entuzjastyczne.

● Od 15 marca do 21 kwietnia będzie występował w Paryżu radziecki zespół pieśni i tańca „Bieriozka".

Film i telewizja

● „Iluminacja" Krzysztofa Zanussiego otworzyła dziesięciodniowy festiwal filmów polskich w Berlinie Zachodnim.

● Reżyser John Schlesinger (twórca znanego u nas „Nocnego kowboja") kręci film o byłym imperium amerykańskiego filmu — Hollywood. Nie będzie to jednak apoteoza tego środowiska, a dramat złudnej sławy na przykładzie tysięcy zawiedzionych adeptów X muzy.

● Rekordy kasowe w USA bije film Williama Friedkina „Egzorcysta". Znany u nas reżyser („Francuski łącznik") pokazuje młodą dziewczynę opętaną przez szatana, która przeistacza się w potworka. Pod presją opinii publicznej film ma być zdjęty z ekranów.

● Rekordzistką, chyba nawet w skali międzynarodowej, jest aktorka turecka Turkyan Shorai; ma dopiero 26 lat, a występowała już w 150 filmach fabularnych, grając przeważnie główne role.

● Gregory Peck z aktora przemienił się w producenta. Ma już 57 lat. W Hollywood niemal etatowo wygłasza mowy pogrzebowe po śmierci innych aktorów.

Różne

● W roku bieżącym kultura polska będzie szczególnie szeroko prezentowana w różnych krajach świata. Przewiduje się wyjazd 100 zespołów muzycznych, 115 zespołów folklorystycznych, tysiąca solistów, 60 zespołów teatralnych, 270 grup i zespołów estradowych, ponad 200 wystaw plastycznych.

● W dawnym pałacu Lubomirskich w Rzeszowie powstaje Muzeum Pożarnictwa, zapoczątkowane prywatnymi zbiorami Leona Tryoalskiego.

● Po gruntownym remoncie budynku dotychczasowego muzeum regionalnego w Krapcu powstaje tam oddział warszawskiego Muzeum Sportu i Turystyki.

● Zatwierdzone zostało rozpoczęcie jeszcze w bieżącym roku budowy nowoczesnego gmachu teatru w Kielcach. Stanie on w centrum miasta w okolicach placu Moniuszki.

● Artyści i zespoły z 60 krajów wystąpią w tegorocznym sezonie kulturalnym w Moskwie. M. in. w maju i w czerwcu odbędą się występy mediolańskiej La Scali.

Lubliniana

● Klub MPiK w Lublinie eksponował wystawę ciekawych exlibrisów ze zbiorów dr. Stefana Wojciechowskiego na temat „Lublin". Wystawa była poprzednio prezentowana w Warszawie w ramach Panoramy.

● Po udanym tournée w Kanadzie Zespół Pieśni i Tańca UMCS występuje obecnie w Stanach Zjednoczonych.

● Nasza Rozgłośnia PR wznowiła giełdy piosenek. Na ostatniej przedstawiono 24 utwory i „utwory". Jury wyróżniło dwie piosenki: „Nasze noce" W. Miszczaka i R. Lipko do słów A. Srebronia wykonaną przez Anetę Łastik oraz „Żal oczu zakochanych" w interpretacji I. Giżewskiego. Publiczność opowiedziała się za pierwszą.

● W Muzeum Czechowicza odbył się wieczór autorski Mieczysława Jastruna. W 1944 r. ukazał się w Lublinie jego zbiór wierszy pt. „Godzina strzeżona".

● Od 16 do 23 czerwca odbędzie się okręgowa wystawa filatelistyczna. Zgłoszenia wystawców przyjmuje Zarząd Okręgu ZFP.

noty i notki

Z „Kulturą" jestem nieco na bakier, a przynajmniej z jej nr. 8. Andrzej Osęka oburzył się w nim — na konceptualistyczne wyczyny Tomka Kawiaka w Paryżu. Kawiak drukowanym bilecikiem zawiadomił Osękę, że bliżej nieokreśloną ilość własnej śliny zamienił uroczyście na paczkę majeranku z niejakim panem Lambertem. Ale przy okazji Osęka pisze, że Kawiak „w październiku 1970 ściął w Lublinie na ulicy Narutowicza ok. 40 wielkich klonów (...) pozostałe kikuty obandażował". A nieprawda! Gdyby owe drzewa ściął Kawiak, pewnie do dziś siedziałby w kryminale. W rzeczywistości nie całe drzewa, a tylko ich korony zostały ścięte „urzędowo", natomiast Kawiak jedynie obandażował okaleczone drzewa i to właśnie przyniosło mu specyficzny rozgłos.

●

Rewelacyjną wiadomość usłyszałem w dzienniku radiowym programu I w dniu 28 lutego o godz. 9: że huta szkła w Lubartowie przestała produkować butelki, robi natomiast wkłady do termosów. O tym fakcie, na pewno zresztą nie epokowym, pisał w „Kamenie" kol. Derecki już przed trzema laty, kiedy to faktycznie było nowością.

●

Nauczona brzydkim doświadczeniem z końca roku ub., moja towarzyszka przed zajęciem miejsca w kawiarni „Czarcia Łapa" przeciągnęła ręką po siedzeniu krzesła: cała dłoń była czarna. W czasie interwencji kierowniczka kawiarni bardzo przepraszała, ale jakieś dziewczę z niezwykle obrażoną miną przyszło wytrzeć to krzesło — i kilkanaście innych — dopiero po ponownej interwencji u kierowniczki. A przecież po wprowadzeniu nowych marż w lokalach gastronomicznych miała się poprawić jakość obsługi klientów. Widocznie jednak utrzymanie czystości i dbanie o garderobę klientów nie mieści się w pojęciu dobrej jakości obsługi — przynajmniej zdaniem personelu „Czarciej Łapy".

●

W telewizyjnym „Banku miast" Rabka wygrała przed Nałęczowem — tak zdecydowali telewidzowie. Ale myślę, że nie wszystko było w porządku. Prowadzący imprezę red. Pach powinien być wzorem bezstronności. Tymczasem po występie dzieci z Rabki, rzeczywiście pięknym i wzruszającym, wykrzyknął na cały głos: „No, już słyszę tysiące telefonów za Rabką", co było oczywistą protekcją na rzecz jednego z konkurentów. Nie popisał się też przedstawiciel naszych władz wojewódzkich. Najpierw zrezygnował z zabrania głosu w ramach „zachwalania" swego województwa (z tego prawa skwapliwie skorzystał przedstawiciel władz województwa krakowskiego), na końcu zaś swoje dyspozycyjne 40 punktów przyznał w całości Nałęczowowi, nie widząc nic pozytywnego w Rabce. Nie było to — mówiąc po sportowemu — fair play.

●

Jezdnie niemal wszystkich ulic Lublina są pełne dziur i wybojów, nie widać natomiast nikogo, kto by się zajmował ich reperacją. A już zupełnym skandalem jest np. sytuacja na ul. Sławińskiego, w samym centrum. Proponuję więc prezydentowi miasta, niech dyrektorowi Zarządu Dróg, Mostów i Zieleni przydzieli dodatkowo dziesięć litrów benzyny, by rzeczony dyrektor wreszcie przejechał się ulicami miasta — a następnie na własny koszt wymienił resory w służbowym samochodzie!

●

Magazyn „Sztandaru Ludu" (nr. 50) poleca polskim czytelnikom w rubryce „To chcemy mieć w domu", aby wzorem obywateli USA używali „papierowych tacek, kubków, talerzy, sztućców do jednorazowego użytku itp. z tworzyw sztucznych". Może nawet byłby to dobry pomysł, gdyby nie dalsza część owej informacji, że owe naczynia czy sztućce „są jednak jeszcze wciąż dwukrotnie droższe od (...) automatów do zmywania naczyń". Ponieważ taki automat kosztuje u nas kilka tysięcy złotych, ciekawi mnie, który z czytelników „Sztandaru" chciałby mieć coś takiego w domu?

JOD

ekran i widz

Dwie premiery

NAPISAŁ niedawno pan Edward Kutermankiewicz w „Sztandarze Ludu", że film Sylwestra Szyszki „Ciemna rzeka" będzie z pewnością przyrównywany do „Popiołu i diamentu"... „jednego z najwybitniejszych filmów w dziejach polskiej kinematografii". Niestety, nie rozwinął następnie tego stwierdzenia: dlaczego i w ogóle na jakiej zasadzie miałoby owo przyrównywanie polegać, poświęcając resztę recenzji omówieniu problematyki podjętej w „Ciemnej rzece". Zgoda na to, że „Ciemna rzeka", ukazująca skomplikowane problemy, z jakimi zetknęła się wieś lubelska (i nie tylko lubelska) w pierwszych pookupacyjnych miesiącach — to „film polityczny w najlepszym rozumieniu tego słowa", że Szyszko „unika spraw oczywistych, banałów, łatwych klasyfikacji" i że „konfrontacje, jakie dokonują się w (jego) dziele nie są konfrontacjami słów i deklaracji". Tylko — „Popiół i diament" jest dziełem wybitnym, zrodzonym z ogromnego wybuchu pasji politycznej i artystycznej, poruszającym po dziś dzień umysły nie tylko Polaków, do których przede wszystkim przecież, w określonej sytuacji, był adresowany; natomiast „Ciemna rzeka" przynosząc wiele wnikliwych obserwacji środowiska, oraz nieszablonowe spojrzenie na temat, stanowi raczej z talentem zrealizowany „przyczynek" do historii pierwszego okresu Polski Ludowej. Dla nas lubliniaków, tym ciekawszy, że osadzony w autentycznej lubelskiej scenerii, z samym Lublinem włącznie.

Dlatego właściwszym byłoby chyba ograniczenie się po prostu do stwierdzenia, że „Ciemna rzeka" jest filmem, który każdy Polak zaangażowany w historię swojego kraju powinien obejrzeć.

Szczególnie zaś młodzież, dla której film Szyszki stanowi doskonałą, poglądową, w atrakcyjny sposób opowiedzianą lekcję historii. Tym bardziej zaskakujący jest fakt małego zainteresowania „Ciemną rzeką" ze strony lubelskich szkół i zakładów pracy. Te ostatnie z podziwu godną konsekwencją fundują pracownikom bilety na różne ekranowe super — giganty w rodzaju „Spartakusa" czy „Kleopatry" uważając, że w ten sposób dobrze zasługują się akcji krzewienia kultury we własnym środowisku. To zresztą cały skomplikowany problem, który nadawałby się do poruszenia w osobnej, szerszej publikacji.

Dobrze przynajmniej, że nikt nie wpadł na pomysł zorganizowania zbiorowych „pójść" na ostatnią premierę tygodnia — „Królowe Dzikiego Zachodu", film produkcji francusko-hiszpańsko-włosko-angielskiej, zrealizowany przez znanego francuskiego reżysera Christian-Jaque'a, z niewątpliwym zamierzeniem zrobienia z tego obrazu tzw. bomby kasowej.

Producenci postanowili powtórzyć sukces finansowy i artystyczny „Viva Maria!" nakręconego przez Luisa Malle'a z udziałem Jeanne Moreau i Brigitte Bardot, przeciwstawiając sobie tym razem dwie światowej sławy sex-bomby, Brigitte Bardot i Claudię Cardinale, wkładając im na głowę kowbojskie kapelusze, dając do ręki rewolwery i osadzając ubożuchną intrygę w scenerii westernu. Miała to być na dodatek parodia westernu albo raczej — jak twierdził w wywiadach dla prasy reżyser — satyra na schematy westernowe. W myśl założeń owej „satyry" Christian Jaque kazał BB i CC bić i kopać, tarzać się w błocie i wyrywać sobie włosy z głowy — ku radości niewybrednej widowni. Jest to zresztą w tym filmie jedyny „przejaw" talentu, jakim zdołały zabłysnąć obydwie dobre przecież aktorki. Zabrakło w „Królowych Dzikiego Zachodu" dobrego aktora komediowego, zabrakło jakichkolwiek kreacji aktorskich, dobrego smaku, poczucia humoru, pozostało trochę ładnych dziewcząt pętających się po ekranie, a dla jako tako wyrobionego widza pozostało po wyjściu z kina przeświadczenie, że pod względem artystycznym „Królowe Dzikiego Zachodu" mają się tak do „Viva Maria!" jak pięść do nosa i że film jest wielkim niewypałem znanego i zdolnego („Fanfan Tulipan") reżysera. Nasuwa się też pytanie, po co w ogóle takie „westerny" się do nas sprowadza? A przecież w niedalekiej przyszłości czeka nas jeszcze jeden westernowy rodzynek. „Samuraj i kowboje" (!). Już sam tytuł mówi dostatecznie za siebie.

(md)

Odpowiedzi redakcji

A. W. Kolonia Spławy. Chętnie zamieszczamy frazki, podobno nawet wykazujemy w tym względzie nadmiar tolerancji. Mimo to nie możemy dopatrzyć się niczego śmiesznego w wierszyku: „Nie ma takiej świni, prawda to niezbita, by się z ryjem nie pchała do pełnego koryta". To nie dowcip. To komunał.

Bogusław B. Jakieś skłonności poetyckie Pan posiada. Ale przy tym jakież braki w opanowaniu języka! Radzimy dużo czytać, może się z tego wykrystalizuje lepszy styl. Na razie jedynie moglibyśmy zacytować językowe naiwności.

Maksymilian K. Wiersz w całości nie przekonuje. Nie ma kompozycyjnego rygoru. Ale — dobre określenia i metafory. Tylko nie można wiersza przyjmować po kawałku, czy warunkowo. Odkładamy ad acta, ale oczekujemy w przyszłości ciekawszych tekstów.

J. M. Garbów. Uważamy, że dziewczynie najlepiej będzie podziękować bezpośrednio, bez pomocy druku. Bo jeśli się okaże, że wiersz jest słaby, może mieć pretensje o związanie z nim swojego imienia. A tak jest istotnie. Nie wydrukujemy. Może w ten sposób przyczynimy się również do uniknięcia komplikacji natury towarzyskiej.

L. Z. Chełm Lubelski. Wbrew temu, co Pani sądzi, nie pisze Pani od siebie. Te wszystkie „brzegi przepaści", „noce polarne", „dłonie zaciśnięte na krtani" itp. to stereotypy powtórzone po dawno zwietrzałych wierszach, a nie własne wyrazy autorki. Miłość, jak w ogóle wszelkie aktualnie doznawane uczucie, zawsze jest czymś świeżym i autentycznym, nie można jednak tego powiedzieć o pisarskich środkach. Te bywają banalne i tak się stało w Pani wypadku.

S. R. Konin. Tym wierszom na dobrą sprawę niczego nie można zarzucić prócz tego, że nie koniecznie musiały być napisane. Nie widać w nich rozrachunku autora z chwilą, błyskiem, cieniem, goryczą, z tym wszystkim, co jest niezdefiniowalnym impulsem i tworzywem poezji. Pan odbywa sobie spacerek w szpalerze zjawisk zrelacjonowany dość trafnie, nie czyniący jednak wrażenia na czytelniku.

A. C. Lubartów. Jest to dość udana mozaika nastrojów, obrazków, spostrzeżonek, ale w żadnym z utworów, nie widać osobowości autora. Można to było napisać „zza biurka", zupełnie bez kontaktu z rzeczywistością doznań. Wiersze sprawiają wrażenie raczej trafnego zastosowania „kodu" poetyckiego niż lirycznego wyznania.

P. G. Zielona Góra. Ma Pani rację, że jako pismo lubelskie dajemy sposobność do wypowiedzi przede wszystkim autorom lubelskim. Nie znaczy to jednak, że pomijamy inne regiony, co widać po prostu w druku. Ale czy w stosunku do swoich stosujemy złagodzone wymagania artystyczne? Patriotyzm lokalny polega na czym innym.

A. B. Lublin. O tych wierszach można powiedzieć, że są dotknięte „błędem szczerości". To znaczy — chęć spowiedzi jest w nich tak duża, że odsuwa na dalszy plan troskę o artystyczny wyraz. Autorce wydaje się, że wystarczy samo ciepło wyznania, sam intymny szept, by wywołać nastrój liryczny. Owszem, liryka tego wymaga, ale na tym nie poprzestaje. Radzimy trochę więcej samoopanowania. Przemilczenie też ma wymowę.

R. D. Janów Lubelski. Nie zalecamy oryginalności za wszelką cenę, nie wysuwamy jej nawet jako postulatu, bo powinna przyjść mimochodem jako jedna z cech osiągniętych przy poszukiwaniu najtrafniejszego słowa, ale przecież staraniem autora nie powinno być wtopienie się w tło całej bieżącej produkcji poetyckiej. Przede wszystkim trzeba mówić od siebie, później do rozważenia jest wszystko inne.

B. B. Lublin. Różne są drogi dojścia do poezji i wszystkie są dobre pod warunkiem, że prowadzą do celu. Nawet pańskie „matematyczne traktowanie słowa" (aczkolwiek nie bardzo wiemy, co ono oznacza) zasługuje na uwagę, jeśli w efekcie przyniesie poetycki rezultat. Ale wydaje się, że Pan odwrócił sytuację. Patrzy Pan na poezję od strony technicznego środka i z tej perspektywy chce Pan dojść do jej źródeł. Ha, poczekajmy, może komputer coś w końcu przyniesie w dziedzinie szachów.

Szyfrogram literacki (nr 5)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery. Dla ułatwienia pierwsze litery początkowych 13 wyrazów dadzą imię i nazwisko poety, który jest autorem fragmentu wiersza do odgadnięcia. Pojedyńcze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze.

67, 12, 62, 19, 71, 83 — rzymski ojciec bogów,
122, 81, 17, 124, 47, 16, — koniec rzeki,
55, 14, 111, 85, 53, 44 — imię królów francuskich,
100, 94, 13, 126, 82, 103, 95, 23, 33, 41 — lekarz chorób wewnętrznych,
105, 118, 109, 88, 116 — przedstawiciel
90, 43, 74, 66, 42 — płyn do picia,
61, 96, 29, 48, 72, 81 — znamię odbite lub wypalone,
121, 35, 59, 101, 79, 4 — zastępuje nieletniego monarchę,
32, 33, 34, 30, 10, 102 123, 131 — pierwociny, zalążek,
97, 89, 11, 20 — zamek z płaskim kluczem,
46, 128, 129, 73, 5, 23, 98 — prawdziwek,
64, 27, 35, 76, 108, 22, 37, 80 — zgłaszający się dobrowolnie do wykonania czegoś,
7, 49, 75, 120, 87 — orszak,
91, 70, 51, 58 — referaty, przemówienia
99, 69, 26, 107, 40, 54, 18, 113, 93 — pozbawienie wolności,
115, 9, 117, 68, 39, 125, 65 — narzędzie rolnicze,
106, 45, 130, 2, 6 — górna część twarzy,
56, 127, 24, 86 — koniec zwierzęcia,
8, 50, 57, 104, 3 — roślina z dużymi różnobarwnymi kwiatami w koszyczkach,

1	■	2	3	4	■	6	7	8	9	10	■	11	12	13
14	■	15	16	■	17	18	19	20	■	■	21	22	23	24
25	26	■	27	28	29	■	30	■	31	32	33	34	35	36
37	38	39	40	41	■	■	42	43	44	■	45	■	46	47
48	49	50	■	■	51	■	52	53	54	55	56	57	58	■
59	60	61	■	62	■	63	64	65	66	67	■	■	68	69
70	71	72	73	■	74	75	76	77	78	79	80	81	■	82
83	84	85	86	87	■	■	88	89	■	90	91	92	93	94
95	96	97	■	98	99	100	101	102	103	104	105	■	■	106
107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119	■	120
121	122	123	124	125	126	127	128	■	129	130	131	132	■	■

110, 113, 114, 77, 122, 60 — Niemcy od Bismarka do Hitlera,
15, 1, 31, 119, 21, 92, 78, 36, 28, 84 — ponowne wystawienie sztuki.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z Nr 3

Pionowo: kordegarda, chomik, mozaika, teokracja, rząd, stolica, meta, mleczarka, perkal, mat, zło, bramka, Reflektor, Raba, korsarz, Azja, Melpomena, Anhelli, akapit, kolaudacja.

Pionowo: kompromis, rozsądek, Emil, adapter, detal, hurt, maczeta, krawat, koncept, szrama, Kromer, Amor, formalina, Zatopek, strzelec, rebelia, formata, premia, stado, Gobi, chód.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 3 cztery bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali:

Paweł Zawisza, Włodawa, Al. Wyzwolenia 56, Stanisław Nowakowski, Zamość, ul. H. Sawickiej 90, Jan Niedziałkowski, Ząbkowice Śląskie, ul. Daszyńskiego 65, Janusz Krajewski, Warszawa, ul. Racławicka 4 m. 27.

listy do kameny

ZA SZEROKO W BIODRACH

Młodzież mamy rosłą, fakt ten zdaje się pobudzać wyobraźnię projektantów mody dziewczęcej i chłopięcej. Może nawet za bardzo. Oto w tzw. młodzieżowym PDT w Lublinie znalazłam upragnione komplety z cieniowanego teksasu (spodnie i bluza). Bezskutecznie szukałam ich przez wiele miesięcy, czyniąc wypady do Warszawy. A tu, na miejscu, widzę pewnego dnia hutowego całe stosy tego ubioru. Szczęście mąci jednak dziwne zachowanie się klientek, moich rówieśniczek, które przebierając w kompletach, śmieją się ironicznie i żałośnie. Okazuje się, że bluzy szyte są na dziewczyny smukłe, a spodnie przeciwnie — chyba z myślą o słoniach. Nie należę do kobiet zbyt szczupłych, jestem chyba „przy kości", lecz musiałabym mieć biodra jak ogromna dynia, aby wypełnić ten przywdziewek. Poszukiwany towar okazał się bublem, wtajemniczeni twierdzą, że przysłano go do Lublina, bo gdzie indziej nikt go nie kupował, a wiadomo, na wschodzie baby krępe i biodrzaste. Przynajmniej w wyobraźni handlowców i projektantów mody młodzieżowej, którzy zapewne posiadają dyplomy wyższych studiów plastycznych.

Anna Gumowska
Lublin

„TOTKOWI MILIONERZY PO 15 LATACH"

W związku z artykułem Stanisława Harasimiuka „Totkowi milionerzy po 15 latach" („Kamena" nr 22 z ub. roku) naczelnik powiatu w Białej Podlaskiej przesłał redakcji odpis protokółu, który wyjaśnia istotny element sprawy. Oto jego treść.

„Protokół z wizji lokalnej w domu nr 1 przy ulicy Dalekiej w Białej Podlaskiej dokonanej w dniu 6 listopada 1973 r. na okoliczność ustalenia miejsca zamieszkania rodziny ob. Olimpii Zajdel.

Komisja w składzie: przewodniczący Prezydium MRN, ob. Piotr Demczuk; zastępca przewodniczącego Prezydium MRN, ob. Mirosław Lubaszewski; referent GKiM, ob. Krystyna Kalinowska — po dokonaniu oględzin... ustaliła, że ob. Olimpia Zajdel wraz ze swoją rodziną zamieszkuje w domu nr 1 przy ulicy Dalekiej w Białej Podlaskiej. Dom, w którym wyżej wymieniona zamieszkuje, składa się z 5 izb mieszkalnych. W domu tym zamieszkują 3 rodziny, tj. Olimpia Zajdel z rodziną trzyosobową zajmuje lokal składający się z dwóch izb, Lucjan Zajdel (syn) z rodziną trzyosobową zajmuje lokal składający się z dwóch izb, lokator z rodziną trzyosobową — w chwili kontroli nie zameldowany, a mieszkający już od kilku tygodni. W budynku gospodarczym, służącym latem jako kuchnia, w którym według sugestii ob. Olimpii Zajdel ona jakoby zamieszkiwała, znajdował się węgiel oraz inne rupiecie nie mające większego znaczenia."

KRZYŻÓWKA Z „BYKIEM"

Traf chciał, krzyżówkę z 26 numeru „Kameny" (1973 r.) rozwiązałem niemal całkowicie bez pomocy słowników i encyklopedii. Nie mogłem jednak rozszyfrować hasła „ostry sos pomidorowy" (26 pionowo). Dopiero po przewertowaniu encyklopedii i „Słownika Wyrazów Obcych", w suplemencie do tej ostatniej publikacji znalazłem coś, co mogłoby być tutaj na właściwym miejscu. To słowo, to „ketchup". W tym miejscu pojawił się jednak następny problem: tam, gdzie w krzyżówce powinno być „h", znajduje się „z". Wymyśliłem, że chodziło wam o fonetyczną pisownię tego wyrazu. I rzeczywiście — fonetyczna pisownia bardzo dobrze pasowała do układu krzyżówki.

Właśnie takie posłużenie się pisownią fonetyczną wzbudza mój sprzeciw. Normalnie przecież w krzyżówkach stosuje się pisownię oryginalną, albo odpowiednio zaznacza się zapis fonetyczny. Chyba w żadnym w ogóle tekście nie pozwolilibyście sobie na napisanie „de Gol" zamiast „de Gaulle".

Żądam i jednocześnie proszę, abyście wzięli sobie do serca to, co wyżej napisałem.

KLIMAR
(nazwisko i adres znane redakcji)

Od redakcji: Czytelnik ma rację, przepraszamy.

KULTURA NA WSI

Dwa lata temu powstała koncepcja budowy gminnych ośrodków kultury, które miały być wznoszone sukcesywnie. Nie stać nas na natychmiastowe wyposażenie wsi setkami funkcjonalnych obiektów i wszyscy to rozumieją. Nie można jednak przechodzić obojętnie wobec faktu, że na Lubelszczyźnie nie wybudowano dotąd żadnego nowego ośrodka kultury. W ogóle wiele do niedawna mówiło się na temat wzmożenia i unowocześnienia pracy kulturalnej we wsiach i małych miastach. Obecnie jednak cisza panuje wokół tego zagadnienia, wieś to przede wszystkim produkcja rolna, a małe miasta mają na głowie setki innych kłopotów. Sporo złego można by przypisać dawnym świetlicom, lecz nikt im nie odbierze zasługi kulturalnego rozruszania środowiska wiejskiego, podczas gdy obecnie placówki kulturalne świecą pustkami.

Jan Ambroziak
Zamość

KONSERWY ARTYSTYCZNE

Muzeum Okręgowe w Lublinie posiada w magazynach setki obrazów współczesnych plastyków, wśród których znajdują się płótna sygnowane przez najwybitniejszych malarzy: przez Kantora, A. Lenicę, Tarasina, zmarłą przed laty Jaremiankę etc. Muzeum nie eksponuje tych obrazów, ponieważ posiada trudne warunki lokalowe — takie jest oficjalne wytłumaczenie sprawy. O warunkach ekspozycyjnych muzeum mamy jakie takie pojęcie, ale mamy również pewne rozeznanie w stosunku tej placówki do sztuki nowoczesnej. Wiemy także, że posiadając tak bogate zbiory, pod żadnym pozorem nie wolno ich konserwować w magazynach przez lat 12. Ostatni raz prace te były eksponowane na wystawie pod nazwą „Zakupy Muzeum w Lublinie oraz Wydziału Kultury PWRN w latach 1959—1961". Aby nieco rozjuszyć fachowego czytelnika podaję, że pokazano wówczas malarstwo m. in. takich artystów: Tytusa Czyżewskiego, Zbigniewa Pronaszki, Jana Cybisa, Piotra Potworowskiego, Eugeniusza Eibischa, Jerzego Fedkowicza, Marii Jaremy, Tadeusza Kantora... Skromne fragmenty tego wielkiego majątku są czasami podtykane pod oczy widza w ramach stałej ekspozycji malarstwa polskiego, a przecież w niezbyt odległej przeszłości było kilka okazji uzasadniających urządzenie instruktywnej wystawy owych zbiorów.

Marian Słoma
Nałęczów

Rys. D. Opolski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogdan Madej, Zygmunt Maćkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch", Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 471. 22.II.74. E-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurendy.

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35. Nr indeksu 36-400

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

5:0

PRZED chwilą wysłuchałem radiowej transmisji (szkoda, że nie telewizyjnej...) z meczu piłkarskiego Polska - Jugosławia w Algierze. I znów serce rośnie!

No bo tak: w decydującym meczu o miejsce w Monachium Jugosławia wygrywa z Hiszpanią 1:0. Z kolei Hiszpania (również 1:0) pokonuje NRF. Na stadionie w Rzymie podczas meczu gigantów Włochy remisują z drużyną zachodnioniemiecką 0:0...

A w Algierze nasi chłopcy, albo, jak zwykli pisać niektórzy sprawozdawcy, białoczerwoni sprawiają zawodnikom jugosłowiańskim tęgie lanie: bramkarz jugosłowiański musi aż pięciokrotnie kapitulować!

Algierski stadion, wyłożony tartanem, przy którego budowie brali udział i polscy specjaliści, okazał się dla nas niezwykle szczęśliwy. Wygraliśmy na nim z reprezentacją algierskich klubów wojskowych 3:0, wygraliśmy z Jugosławią i ten ostatni wynik cieszy szczególnie. Była to przecież drużyna olimpijska, a nie zlepek przypadkowych graczy. Nawiasem mówiąc, sportowcom jugosłowiańskim nie wiedzie się ostatnio w konfrontacji ze sportowcami polskimi. Po bokserach piłkarze wracają bez sukcesu. Co ja mówię — bez sukcesu! 5:0 to już jest klęska. Wyobrażam sobie, co by się działo w Polsce, gdyby sytuacja była odwrotna i te pięć bramek przepuściłby Tomaszewski lub Kalinowski! Przez analogię można wnioskować, jak zareagują na wieści z Algieru Kibice jugosłowiańscy!

Wynik poszedł w świat. Znają go już i w Haiti, i we Wietnamie, i w Argentynie. Oczywiście prasa sportowa w tych krajach będzie miała sporo racji, twierdząc, że mecz towarzyski — bo w końcu algierski turniej miał taki charakter — to nie twarda walka o punkty? Zgoda. Ale spotkanie polsko - jugosłowiańskie pokazało równocześnie, że nasi zawodnicy mają fantastyczną kondycję. Jest to o tyle dziwniejsze, że przecież — w przeciwieństwie do wielu innych krajów — zima należy u nas do sezonów martwych, jeśli chodzi o piłkę nożną. A więc jeszcze nie rozkręciliśmy się, a tu już nokaut!

Po Algierze znów będzie rósł nasz apetyt. Im bliżej Monachium — tym większa gorączka. Dobrze, że Polski Związek Piłki Nożnej szuka nowych sparringpartnerów dla naszej reprezentacji. Ostatnio pomyślnie zakończyły się pertraktacje z Greckim Związkiem Piłki Nożnej. 15 maja będzie gościć nad Wisłą jedenastka tego kraju. Wprawdzie Grecy zajęli w swej grupie eliminacyjnej ostatnie miejsce, nie zdobyli ani jednego punktu, ale nie są oni czerwoną latarnią w światowym piłkarstwie. A jeśli już mamy zmierzyć się w NRF z południowcami, spotkanie z pełnymi temperamentu zawodnikami greckimi jest bardzo potrzebne... Przydałyby się i inne tego rodzaju, ale trzeba postępować ostrożnie, aby nie przedobrzyć. No i od sędziów należy szczególnie wymagać, aby nie dopuszczali do brutalnej gry. Wprawdzie mamy już szeroką kadrę, nie mniej ostrożność nie zawadzi. A ostatecznie, co za przyjemność dla zawodnika oglądać mistrzostwa świata w telewizorze, lub nawet na stadionie, jeśli na udział w reprezentacji zasłużył wieloletnią pracą. Przykład Lubańskiego podczas londyńskiego meczu jest tu pouczający. Chociaż... Nie chcę urazić tego wybitnego piłkarza, ale jego kontuzja — i tak bywa w sporcie — obudziła zdrowe ambicje wśród naszych piłkarzy. Przestali, z konieczności, „grać na Lubańskiego", i wówczas okazało się, że mamy więcej strzelców, że umiemy grać zespołowo. To doświadczenie — po powrocie Lubańskiego do kadry — może okazać się bardzo cenne.

Więc co? Alger to wielki zastrzyk optymizmu? Na pewno.

Piłka jest jednak okrągła. I o tej starej prawdzie też trzeba pamiętać.

Kurtyna otworzy się dopiero w Monachium. Chcielibyśmy do końca uczestniczyć na scenie w tym wielkim spektaklu. Ale nie tylko my tego pragniemy...

MAJ

P.S. Ha... ha... ha... Kochani kibice! Pokręciły mi się daty. Ten tekst pisałem w nocy z 28 lutego na 1 marca, a nie na ... Primo Aprilis. Muszę więc z miejsca uczciwie sprostować: wygraliśmy 5:0 z Jugosławią, z drużyną olimpijską, fakt, ale złożoną z zawodników... II ligi. Z czego się więc cieszymy?

minuta myślenia

Zmotoryzowana „Balladyna"

NIESTETY, muszę złamać dane sobie słowo, że już nigdy nie napiszę o awangardowych wybrykach w teatrze. Na ogół nie jestem kłamcą, oddaję pożyczane pieniądze, nie składam fałszywych zeznań o podatku dochodowym, ale tym razem szok przekroczył limit mej wytrzymałości: motocykle w inscenizacji „Balladyny"! Sam widziałem w telewizji (już nie pamiętam, który program) dnia 10 lutego 1974 roku. Oczywiście później pokazało się sceptyczne oblicze Adama Hanuszkiewicza tłumaczącego, że to przecież nic nadzwyczajnego, że to „nowe odczytanie" i „swoboda inscenizacji reżyserskiej", ale niestety: do argumentacji mającej usprawiedliwić wyskok nie dodaje się niczego nowego, natomiast do starych dzieł — dzisiejsze niedorzeczności. Tak uparcie, że w końcu przywyknę i zgodzę się z przekonaniem, że naszych reżyserów nie stać na prawdziwą twórczą inwencję.

A tak, proszę panów, a tak! Bo te wszystkie ekstrawagancje świadczą, że nie macie naprawdę energicznych koncepcji, zdolnych zahaczyć siłą artystycznej wizji, natomiast uwagę widza łapiecie sztuczkami na poziomie — cyrkowym? jarmarcznym? Te są za wysokie — na poziomie współczesnego teatru.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Czy niniejszym z emfazą odkrywam, że za czasów Słowackiego nie było motocykli, natomiast w inscenizacji jego dramatu motocykl się pojawia? Bogać tam, można sobie zrobić taką zabawę. Ale rzecz w tym, że reżyser naprawdę nie mając nic do powiedzenia, owo nic chce zagłuszyć hukiem motoru i to zagłuszanie właśnie podać jako nową koncepcję. Dobrze, można przyjąć to za oryginalność. Ale do takiej oryginalności wystarczy PZMot. Zrobi to każdy właściciel motocykla.

„Szanowny pan też artysta?" A to prosimy, prosimy. Ciekawi jesteśmy nowego utworu. Ale być artystą w ten i tylko w ten sposób, że się partaczy cudze dzieło, czynność tę nazywając w dodatku jego wzbogaceniem, to chyba coś tu nie w porządku również z logiką. Czy dzisiejszy reżyser nie widzi, że w ten sposób wystawić „Balladynę" to tyle, co dorysować wąsy Monie Lizie? A uwzględnijmy przy tych poczynaniach współczynnik trudności. Mowa, czywiście, o reprodukcji.

Oryginalność. Dajmy na to, że po skończeniu tego felietonu wezmę do ręki kij, pójdę do sąsiada vis a vis i stłukę mu żyrandol. Jaki to będzie wypadek? Arcyrzadki. Nie wiadomo nawet, czy kroniki zakładu psychiatrycznego notują coś takiego u swoich pacjentów. Ale czy będzie to oryginalne? Czy potrzebna jest do tego inteligencja? Wyczucie przedmiotu? Horyzont myślowy?

Nie tęsknię do teatru niewolniczo werystycznego. Ale co ze Słowackiego współczesnemu widzowi przybliżają owe trzy motocykle w „Balladynie"? Odpowiedź: Słowackiego nie przybliżają, przybliżyć mają Hanuszkiewicza. Skoro wygasł już huczek z powodu drabiny w „Kordianie", potrzebny jest huk z powodu czegoś innego w czymś innym. Eskalacja środków. Już tylko krok do wydarzenia w Teatrze Rozmaitości spowodowanego przez Tenye Sayki Troupe. Że też ci Japończycy musieli wyprzedzić!

Dobrze, jeszcze nie został ściągnięty sweter i biustonosz jakiejś pani Kazimiery C., czy Apolonii B. Więc rzecz nie trafia na wokandę sądową. Ale czy w Polsce nie ma żadnej odpowiedzialności artystycznej? Ze wszystkiego się można wyłgać paroma frazesami o eksperymencie? Toż właśnie ten eksperyment staje się tak mało ambitny i odkrywczy, jak praktyka w żadnym z okresów z naturalizmem włącznie. Toż eksperymentujący reżyser to ktoś zabiegający o wariackie papiery dla bezkarnej fuszerki artystycznej.

Wszystko możliwe. Nawet motocykl w „Balladynie". Przy dzisiejszej cenie benzyny?

Tomasz Krzewski Księski

Z ALFABETU ABSURDU

„O"

Ondulowan Ornitolog
Obrazowo
Opisuje Ospowatemu Oberżyście
Odmę
Otłuszczenie Osierdzia
Oraz
Owrzodzenie Otrzewnej
Ondulowany Ornitolog
Oswaja Ofiarę Onomatopeją
„O L A B O G A!"
(Okrzyk Oberżysty)

Obłudnik —
Onegdaj Obłoł Obrus Okowitą
Opój Obleśny
„O L A B O G A!"

Ondulowany Ornitolog
Obserwuje
Ospowatego Oberżystę
Okiem
Ozyrysa
Owadobójcy.

„P"

Podstępny Piwonia Postać Piegowata
Pułapki Przygotował Podłe i Przebiegłe
Prześladując Pianistę
(Początkującego)
Pineskami Podłogę Posypał
Padalca —
Plastrem Pod Partyturę Podkleiwszy
Podrzucił —
Potem
Pluskwy Pijane Pod Pianino Puszczał
Pianista Prosił:
„Poniechaj Piwonio Pomysłów Prostackich
Płosz Pukawką Po Polu Pędraki Przebrzydłe
Poniechaj Pianina"
(Prosił Pianista
Początkujący)

Piwonia Patrzy
Pomysł Prokuruje
Po—niewczasie!
P I F ! ! ! ! !
P A F ! ! ! ! !

Pogrzeb Przestrzelonego Piwonii
Pojutrze
Przed Południem

Włodzimierz Ścisłowski

LIMERYKI

PEWIEN TWÓRCA

Pewien twórca z Białowieży
pisał sztuki dla młodzieży.
Aż raz rzekł mu pewien żubr
zabierz lepiej się do „Kóbr",
skoro młodzież ci nie leży!

SMUTNY KONIEC ROZRZUTNIKA

Pewien nabab z miasta Madras
w swym pałacu trzymał wiadra z
diamentami, no, a szmaragd
wrzucał co dzień do katarakt,
aż do wody w końcu wpadł raz.

W SPRAWIE STACZANIA

Pewien pan z miasta Zakroczym
całkowicie się stoczył.
Bardziej stoczyć się nie mógł —
oto koniec problemu,
mówić nie ma już o czym.

PEWNA PANNA

Pewna panna rodem z Dallas
chciała śpiewać tak jak Callas.
Lecz — że śpiew jej — sama trwoga —
poszła do laryngologa,
który w gardle kluskę znalazł.

W MIASTECZKU DOBRZYŃ-GOLUB

W miasteczku Dobrzyń-Golub
żył sobie raz samolub.
Gdy życie pędzisz liche,
to wczuj się w jego psyche
i także siebie polub!

MARTINA WSZYTKOWA

POSTE RESTANTE
SMAK
MIŁOŚCI I łez

Nasi bohaterowie — Mariusz, Zuzanna i Rajmund Borowski (nowa postać) spożywają wieczorny posiłek w szczecińskiej „Kaskadzie" (tańce, hulanki, swawola...). W chwili, gdy Zuzanna tańczy z Rajmundem, do Mariusza dosiada się Jolka (z gatunku niebieskich, podskubanych ptaszków). Zuzanna wraca, Jolka sama się jej przedstawia. Akcja powieści drukowanej w Poste Restante (autonomicznej rubryce „Kameny" — ile razy to trzeba powtarzać?) toczy się dalej.

(36)

Zuzanna przez moment zawahała się. Nie chciała jednak robić sensacji, obawiała się zresztą, aby Jolka nie sprowokowała jakiejś awantury. Nie znała tutejszych zwyczajów. Podała rękę dziewczynie:

— Zuzanna — rzuciła półgębkiem.

— To klawo, że się już znamy. Spływam na razie. A z tobą mogę raz zatańczyć — zwróciła się do Mariusza. — Jak się znudzisz, możesz mnie poprosić. Tylko szybko, bo będę chyba zajęta...

Pomachała ręką i poszła tak niespodziewanie, jak przyszła.

— No, znowu jesteśmy sami. Świetnie się składa, bo właśnie niosą nam coś na ząbek!

Antrykoty wyglądały zachęcająco. Rajmund wziął z rąk kelnera butelkę jarzębiaku.

— Niech się pan nie trudzi. Sam rozleję. Proponuję brudzia — dodał wznosząc do góry kieliszek. Niech to będzie taki brudzio ogólny. Bez całowania. Na to jeszcze starczy czasu.

— Może brudzia wypijemy później? — Zuzanna nie miała zbytniej ochoty na spoufalanie się.

— Później może być różnie — zaśmiał się Rajmund.

— Ale co nagle to po diable — odparowała Zuzanna.

— O, widzę, że i pani się rymnęło... przepraszam — powiedział widząc, jak do bufetu przeciska się jakiś mężczyzna. — Na chwilę muszę państwa opuścić.

Gdy zostali sami, we dwójkę, Zuzanna zapytała Mariusza:

— Znasz tę dziewczynę?

— Skąd? Pierwszy raz widzę ją na oczy.

— Ale podoba ci się?

— Daj spokój, Zuzia.

— Strasznie bezczelna. Ten Rajmund też się udał. Najchętniej bym stąd poszła.

— Ja też.

— No to jak zrobimy?

— Nie wiem.

Orkiestra znów zaczęła grać. Mariusz poprosił Zuzannę. Wstała z uśmiechem. Przytuliła się do niego, czuł zapach jej włosów. I już teraz nie wiedział, czy wolałby, aby na jej miejscu była Barbara. Ten poranek w hotelu dobrze wrył mu się w pamięć. „Och, wyjść teraz z tej pięknej sali, nie widzieć wokół tych obcych ludzi, nie słuchać natrętnego trajkotania Borowskiego." Zuzanna myślała podobnie.

— Wiesz — powiedział w pewnym momencie — mam pomysł. Zostawimy to całe jedzenie, zapłacimy kelnerowi dyskretnie, tak, aby Borowski nie widział i ulotnimy się.

— Pomysł znakomity, tylko zapominasz o jednym: jutro z Borowskim załatwiamy sprawę...

— Sądzisz, że będzie taką świnią...

— Podejrzewam go o to. Musimy swoje odbębnić, starajmy się zjeść jak najszybciej i zwiewamy.

— Dobrze...

Gdy wrócili do stolika, Borowski już siedział. Ale był dziwnie zmieniony.. Nie proponował bruderszaftu, widać, że myśli jego krążyły gdzie indziej.

— Ca pan tak posmutniał, panie Rajmundzie? — zapytała Zuzanna.

— Każdy ma swego mola, który go gryzie. I będę musiał państwa, niestety, pożegnać. Coś nam się dzisiaj nie wiedzie.

— Ale chyba wykończymy tę butelkę? — Mariusz, pamiętający o czekających go interesach, usiłował nawiązać rozmowę w przyjacielskim tonie.

— Tak, ale ja sobie naleję od razu do szklanki. Zdrowie!

Wypił jednym duszkiem, sięgnął do portfela i wyjął stuzłotowy banknot.

— Zostawię swoją dolę i pryskam.

— Niech pan da spokój...

— Nie, nie. Proszę się nie sprzeciwiać i pamiętać, że ja chciałem zawsze najlepiej. — Ukłonił się szarmancko i szybkim krokiem podążył w stronę drzwi.

— Co mu się stało?

— Zupełnie nie rozumiem. — Oboje byli zaskoczeni.

— Ale nie mogło stać się lepiej! — Mariusz uśmiechnął się. Po raz pierwszy tego wieczora.

Po godzinie wrócili do hotelu. Alkohol nieco szumiał im w głowach. Tej nocy jednak długo jeszcze nie zmrużyli powiek.

— Mariuszu, Mariuszu, ty jesteś całe moje życie, całe moje szczęście — szeptała Zuzanna. — Tak bardzo bym chciała, abyśmy mogli zawsze być razem. Powiedz, czy ty naprawdę już nic, a nic nie myślisz o Barbarze?

— Nie — odpowiedział. Zamknął jej usta pocałunkiem.

Kiedy następnego dnia przyszli do zakładu i zapytali o Borowskiego, usłyszeli niespodziewaną odpowiedź:

— Nie, dzisiaj nie będzie. I chyba szybko nie będzie.

— Dlaczego?

— Dograł się. Siedzi.

— Za co?

— Łapóweczki. Może i wyście mu coś dali do ręki?

(dcn)